

Melchior Wańkowicz

# Klub Trzeciego Miejsca

---

LIST DO FLORCZAKA I BLISKICH ♦ «ŚWIAT» — Dojutrki ★  
Stara epoka ★ Moce rozbijające ★ Impas broniących ★ 25 lat anarchii?  
♦ «EMIGRACJA» — Dysproporcje ★ Jaskrawe światło ★ Wstydlivy  
cień ♦ KLUB TRZECIEGO MIEJSCA.

---









KLUB TRZECIEGO MIEJSCA



KLUB TRZECIOG MIEJSCA

---

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE "LIBELLA"  
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4<sup>e</sup>)

MELCHIOR WAŃKOWICZ

KLUB TRZECIEGO  
MIEJSCA

INSTYTUT  

---

PARYŻ



LITERACKI  

---

1 9 4 9

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001009980394



11 755.481



---

IMPRIME EN FRANCE.

Tous droits de traduction et reproduction réservés pour tous pays.

1967 D 477/223



## *List do Florczaka i bliskich*

*Pierwszy raz zwróciłem uwagę na Pana, przeczytawszy pański list o powstaniu.*

*— Patrz — podałem go bliskiemu i rozumnemu człowiekowi.*

*— Podły artykuł! — zmiął pismo.*

*Stracił córkę w powstaniu. Pan odbierał sens tej śmierci.*

*Wówczas pomyślałem — jak trudno jest pisać prawdę. Przeważnie prawdziwie bowiem będą nie tylko przywary ludzkie. Ale będzie przeciwko niej sprzysiężenie najczotliwszych.*



*A pan, drogi Panie Zbigniewie, sam krucho z tą prawdą stoi. Wie Pan, co się Panu nie podoba. Przeczuwa Pan, czego by Pan chciał. Ale nie wie Pan, ani nawet w mglistym zarysie nie umie Pan wskazać drogi po której chciałby iść do tego.*

*Dla niewielu tylko (na szczęście) myślenie może być celem samo w sobie. Większość (i słusznie) wymaga od publicystyki wskazówek: co robić? Tej wskazówki nie mogą liczeni na palcach publicyści, mający poczucie odpowiedzialności, z rękawa wytrzasnąć. Tymczasem szata ideowa jest potrzebna czytelnikowi jak ubranie. Skoro Pan jej nie może dostarczyć, czytelnik idzie do sklepików publicystycznych po tandetę, a do Pana czuje tym więcej goryczy, im silniej odczuł, dzięki Panu, że paraduje w tandecie.*

*Cóż mają pańscy odbiorcy robić? Człowiek musi przecie w coś się ubierać i w czymś chodzić.*

*Gdyby był Pan w stanie oferować jakąś wykończoną szatę ideową, to znaczy taką, w której można pracować, której można używać, w której można iść do czegoś, gdyby Pan, na przykład propagował choćby trockizm — miałby Pan przy najmniej pokrzepiające poczucie, że należy Pan do kamieniomównych proroków. Ale i to jest Panu odjęte.*

*Jest więc tak, że Pańskie artykuły są jak światełka, pełgające na kisnącym torfowisku. Jadąc drogą widzi się takie ognie. Wytlewają. Może się łatwo zdarzyć, że Pan zczeżnie razem z nimi — tuż przy tej rojnej drodze. Przechodnie, mijając takiego*

umierającego biedaka, pośpiesznie konstruują uzasadnienie dla swej obojętności.

Jedni mówią, że kto nie produkuje potrzebnych ludziom wartości, ten ginie — cóż na to poradzić. Inni żałują nawet, ale powiadają, że po to są fachowcy, żeby się Panem zajęli.

Należałem do tych ostatnich. Stronię się od publicystyki. W reportażu wystarcza spostrzegawczo patrzeć i sygnalizować; w publicystyce ponadto należy podsuwać rozwiązania.

Jeśli więc zbliżam się do Pana z pomocą na jaką mię stać, to staje się to tak, jak kiedy minęło na ulicy leżącego biedaka, odwracając wzrok, dziesięciu doktorów, aż wreszcie nieuczony przechodzień pochylił się i zaryzykował rozerwać dławiący kotnierz.



Przypuśćmy, że Pan po tym zabiegu zaszedł do mnie. Postawiłem na stole herbatę, zasunąłem rolety, zapaliłem nierażące światło. Przyglądamy się sobie. Tłumaczę się z niefachowej pomocy, ale widzi Pan, lepsza taka jak żadna. Bo... i ja tak jak Pan parę razy leżałem pośrodku rojnej ulicy. Tylko... że nikt mnie nie podniósł Sam się zwlokłem. I wie Pan, co mi się dodało? Przekonanie, że wśród mijającego tłumu jest wielu bliskich i drogich. Tylko przechodzą w przekonaniu, że Panem powinni zająć się bardziej powołani.



Kiedy tak nieśpieszno rozmawiamy ze sobą — chciwie wpatruję się w Pana. Nie znam Pana, nie widziałem Pańskiej fotografii. Może by mi coś powiedział zarys czoła, szczęki, spojrzenie, uśmiech? Może by pogłębił, a może ściął rozmowę?

Kiedy imaginacyjnie rozmawiam z Panem, patrzę w jedynie dostępny mi fakt: Pan ma, podobno, trzydzieści lat?

Ja mam blisko sześćdziesiąt.

Rozumie Pan, jak nam trudno rozmawiać?

Pan widzi na moich zgarbionych plecach okres przedniepodległościowy, walkę o niepodległość, jej budowanie, pan widzi w moim dławiącym brzemienu nakostniałe warstwy odruchów i, po prostu, głupstw, wymodelowanych w moim samopoczuciu we wspólny pomnik Dzieła Mojego Pokolenia.

Ja patrzę na Pana jak na żóttodzioba, który właściwie nie znał Polski takiej jaka była. I nagle tę moją niezmierną wyższość przesywa żrąca myśl: że Pan dopiero przed trzydziestu laty pojawił się na ziemi „Stamtąd”, że rzucony Pan był w to piekielko powojenne doskonale nagi i uczulony.

Uczulony... Właśnie...

I jak człowiek o osłabionym już wzroku, który obserwuje przedpole i nie jest pewien, czy to co bierze za czołg jest czołgiem — prosi młodszego o zweryfikowanie, tak jak proszę Pana o to.

## Cz. 1. — «Świat»

### DOJUTRKI

Z tym patrzeniem gołym okiem w teren jest zabawna sprawa. Fachowcy posiłkują się lunetami, zdjęciami stereoskopowymi, kombinacją zdjęć pionowych i ukośnych, odcyfrowaniem współnakładających się cieni, zestawieniami szybkości dźwięku i głosu — i w rezultacie tych wszystkich mądrości widzą to, co im nakazuje widzieć... podświadomość.

Kiedy pierwszego dnia bomby niemieckie padły na Warszawę, a żona niepokoiła się, że córka utkwi w Oxford, powiedziałem:

— Telefonuje, że zdoła jeszcze przez Szwecję przylecieć w ten barszcz i tak powinna zrobić. Ale czego ty jako matka się niepokoisz, że tam utknie? Przecie tu będzie Serbia (rozbita i zajęta w czasie tamtej wojny).

Z perspektywy lat jest jasne, że była to nieskomplikowana, jedynie słuszna dedukcja. Ale któż by ją podzielił w dniach września? Naturalnie, sam się z nią nie wysuwałem, bo w czasie akcji na to nie czas. Ale w dni wrześniowe nawet w samym sobie nikt tak nie myślał. Czy przez dyscyplinę wewnętrzną? Przez dzielność? W takim razie nie ma różnicy między *wishful-thinking* i dzielnością. I w takim razie ci, którzy jako rycerze "kultury zachodniej, do której od wieków należy naród polski" wybierają się "na drgającym szatana ciele zatknąć sztandar zwycięski swój" są, po prostu, dzielni w odróżnieniu od nas, epileptyków, których drgawki tarzają przy ludnej ulicy?

A przecież wojskowi studiowali, uzbrojeni w doktryny (marsz. Śmigły-Rydz po klęsce mi powiedział: "No, tylko (!) tego uderzenia czołgów nie przewidzieliśmy"), a przecież dyplomaci studiowali owo przedpole, uzbrojeni w raporty (min. Beck mi powiedział: "Jeszcze w lutym 1939 miałem wrażenie, że burza zwali się wzdłuż Dunaju — w dół od nas...")

Przeszedłszy w bród Dniestr, patrząc, już bezpieczny, na



“bolszewicką stronę”, przypomniałem sobie tę rozmowę z żoną i pomyślałem, że przyrządy na nic, jeśli ich wskazania fałszuje *wishful-thinking*.

Wycisnąłem z wody ubranie, dobiłem do Czerniowiec, w drodze do Bukaresztu pisałem kulawą francuszczyzną artykuł do pism rumuńskich na małej “Efce”, którą przeniostem przez nurt unosząc nad głową. Z dworca pojechałem do trzech po kolei redakcji. Materiał był pierwszorzędny, cała Rumunia chciała wiedzieć, co w te gorące dni dzieje się za jej ścianą. Z artykułu jednak można było wydedukować, że zalew rosyjski wtoczy się na Bukowinę i Besarabię (co też się stało). We wszystkich trzech redakcjach nie chciano imputować takich myśli czytelnikom i artykuł nie ukazał się. Teraz rozumiem, że już wówczas stanąłem u początku biegnącego przez świat muru *wishful-thinking* tym samym, za którym potem chciał świat widzieć silną i niezależną Polskę w sojuszu z Rosją, tym samym, który zdobyły baszty zarówno Jałty jak... Karty Atlantyckiej.



W tym miejscu pańskie trzydzieści lat spojrzało na moje sześćdziesiąt z poczuciem politowania.

Że... niby o czym tu długo głądzić w sprawach tak jasnych.

Widzi pan — jak ma się trzydzieści lat, to jest jasne, że wszyscy są durnie i od nas zaczyna się świat. Jak się ma lat sześćdziesiąt, człowiek pokornieje: ostatecznie ten świat nie czekał na nas, aby coś zrobić i te “durnie” dokonały jednak wielu rzeczy wcale dobrze.

Więc, aby zbuntować się przeciw nim, trzeba sobie wywalczyć prawo do powtórnej młodości. Rozumie pan? Epilepsja już trząść przestała i facet nagle wydziera się z powrotem — do epileptyków.



Rzućmy metafizykę — wróćmy do sprawy zasadniczej: narastającego zdumienia, że zwykła uczciwość w myśleniu nie jest tak dalece niewydoskonalonym przyrządem.

Było to w marcu 1940 r. Córka, po ukończeniu kampanii wrzesniowej, co dla niej nastąpiło aż w końcu października, przyjechała do Bukaresztu. Byliśmy zaproszeni na śniadanie na którym rozpalila się dyskusja, kiedy wrócimy. Było to przed niemieckim skokiem na Skandynawię. Któraś z pań wyraziła przekonanie, że na wiosnę (1940!). Panowie, jako realniejsi, z uśmiechem pobłażliwej wyższości stwierdzili, że to niemożliwe. Niewątpliwie potęga niemiecka na wiosnę zostanie skruszona, ale, rozumie pani, wojskowe eszelony będą miały pierwszeństwo. Chyba, że kto zechce skoczyć do Polski dzikim sposobem, na własną rękę, czepiając się transportów wojskowych. Rozważni panowie mieli poważne obawy, że z należnym komfor-

tem, z rodzinami, z nieuronionym a nawet powiększonym bagażem załeszczyckim, nie uda się wrócić przed jesienią 1940. Nawet przed późną jesienią. Jeden posunął się tak daleko, że sądził, że to może nie nastąpić przed wiosną 1941. Ale umilkł zakrzyczany jako defetysta.

Do salonu łącznie z kawą pani domu wniosła sztambuch. Zaproponowałem, aby w nim zaprotokółować śniadaniową dyskusję. Pani domu przyklasnęła, trudno było odmawiać.

— Sekretarzu — zwróciłem się do córki — więc pan mówił?

Zaczepony, oficer rezerwy, ziemianin, spalony kandydat do sejmu, brat znanego pisarza, począł dyktować:

— Jako Polak i chrześcijanin wierzę w zwycięstwo sprawiedliwości...

— Stop!... — zakrzyknąłem — ja też jestem Polak, chrześcijanin i wierzę w zwycięstwo sprawiedliwości. Ale Szanpan przepowiada powrót na jesień 1940 r.? — zapytałem słodko. — Zapisz.

— A pan — też...

— A pani — też...

Poopisywaliśmy wściekle towarzystwo, oddaję sztambuch z ucałowaniem rączek.

Nastąpiła wrzawa :

— A pan?..

Aczkolwiek protokółowaliśmy dyskusję, w której nie brałem udziału, sytuacja stała się tak napięta, że podyktowałem:

Punkt pierwszy: *«Wojna będzie trwała sześć lat».*

Atmosfera z punktu się rozrzedziła. Gdybym powiedział "Dwa lata", zaraz tegoż wieczora kawiarnie bukareszteńskie huczałyby o mnie jako o skandalicznym defetyście. Ale sześć lat? Był to tak oczywisty nonsens, że nie można było kogoś posądzać, by go wygłaszał poważnie. Ot, epatowanie paradoksami. Poroniony kandydat na polskiego Bernarda Shaw.

I pozostałych punktów słuchano z rozbawieniem:

Punkt drugi: *Nie będzie zwycięzców; można pancerkami wjechać do Berlina, ale nie jest to równoznaczne z możliwością urządzania powojennego świata.*

Punkt trzeci: *Przewiduję roczną preponderencję Rosji w Europie.*

Punkt czwarty: *Po czym rozpocznie się 25-letnia anarchia, która zburzy wszystko, zmele świat na pył drobniotkich cząsteczek. Po 25 latach te cząsteczki poczną się zrastać nie według jakiegokolwiek z góry wyznaczonego planu, tylko biologicznie — jak odrasta stratowana trawa.*

Tu już horoskop począł nudzić.

— Czy wiecie państwo, że Iksińska przyjechała z Polski, a tu tymczasem Iksiński drapnął do Paryża z Ygrekowską?

Towarzystwo rzuciło się na ofiarowaną kość i ocalałem. Pan domu jednak dopilnował, żebym dziwaczny horoskop podpisał.

Jego ostatni punkt jednak dotąd wisi w przestrzeni. Nie wiem

czy uda mi się go nieco ściągnąć na ziemię, aby móc bliżej rozpatrzeć. W każdym razie będę próbował.



Nie mam temperamentu politycznego i chętnie, może i z nawyku reporterskiego, szukam wyjaśnień u fachowców, z góry zakładając, że ich zdanie jest podbudowane odpowiednią metodyką myślenia. Ponieważ na opisanym śniadaniu byli ludzie, piastujący w Polsce przedwrzesniowej stanowiska, które powinnyby wymagać wiedzy i metodyki myślenia, więc nie mogłem otrząsnąć się zdumieniu, pragnąłem zweryfikować, czy to ja dywaguję wskutek szoków, któreśmy wszyscy przeszli, czy też naokoło siebie mam dom wariatów.

Siedząc więc następnego dnia w kawiarni z parlamentarzystą, odgrywającym czołową rolę w przedwrzesniowym sejmie, zaproponowałem, abyśmy się wymienili horoskopami na piśmie. Proponowałem napisanie na piśmie, idąc za maksymą francuską, że nikt tak się nie obawia pisma jak kobieta prywatna i mężczyzna publiczny. Sądziłem, że jeśli zgodzi się dać mi taki paperek, to sformułowania będą tak powściągliwe, że nie zostanie nic poza ogólnikami.

Pan... (małom nie napisał tytułu, tak ściśle związanego z osobą, że równałoby się to wskazaniem palcem) — był wylewny, nie bojaźliwego serca i poszarżował na horoskop.

Rozmowa nasza miała miejsce 19 lutego 1940 r., a oto prognostyk, co miało się dziać za rok o tej porze, prognostyk, który mam przed sobą i dosłownie przepisuję:

#### 19 LUTY 1941 r.

**Na Wschodzie.** Wojska alianckie i państw skandynawskich zajmują Leningrad i okupują państwa bałtyckie. Rewolucja na Ukrainie. Korpus ekspedycyjny aliancki i armia turecka po zajęciu zagłębia naftowego Baku uwalniają Gruzję. Bunt wojskowy w Moskwie. Wobec pogłębiającej się współpracy niemiecko-sowieckiej, Włochy wypowiedziały Niemcom wojnę. Wojska ententy bałkańskiej, aliantów i włoskie przekroczyły granicę południowo-wschodnią Rzeczypospolitej.

**Na Południu.** Wojska Ententy kroczą szlakiem lombardzkim na Wiedeń.

**Na Zachodzie.** Po nieudanej próbie (ponownej) złamania neutralności Holandii, przeszły wojska alianckie do ataku i wkroczyły na tyły linii Siegfryda. Gwałtowne walki powietrzne. Zniszczenie przemysłu wojennego niemieckiego do linii Berlina. Ruchy powstańcze w Polsce.

Ameryka (Stany Zjednoczone) przyłączyła się jesienią 1940 r. do wojny po stronie ententy.



To zbieranie horoskopów kryło w sobie i moje osobiste zainteresowania, stanowiące, jak się okazało, o życiu i śmierci: czy sprowadzać resztę rodziny?



Mając przeciw swoim wywodom zgodną opinię, nie sprowadziłem drugiej córki. Została i zginęła.

Drogi Panie!... Poruszam temat prywatny i bolesny. Ale jestem na odludziu, odcięty, nic nie jestem w stanie zdziałać, chciałbym rzucić co mogę na świadomość Pana, aby go umocnić w pisaniu. Przecie tak jak w moim wypadku o życie jednostki, tak w ogólnym polskim chodziło o życie narodu. I chodzi. Bo znów mogą nastąpić ofiary. Umierający sądzą, że są one składane promiennemu bóstwu ojczyzny, kiedy w gruncie rzeczy syci się nimi fałszywy bożek *W i s h f u l - t h i n k i n g*.

Od 1794 r., kiedy wybuchło powstanie narzucone przez agentury obce, nie byłoby powstania, w którym by te agentury nie grały roli decydującej. Ułatwiała im to właśnie taka łatwa i przyjemna gadanina, jak na tym śniadaniu, jak z tym parlamentarzystą w kawiarni.

Czyż taka gadanina nie trwa? W jednym miesiącu prasa zamieszcza wezwania dwóch panów B. — czołowych poetów emigracji. Pierwszy B. każe "Kiedy naprawdę błysnie na ugorze wolność, milionom walczyć, tysiącom umierać". Drugi B. marzy o Konradzie, który "miecz ostrzy, bacząc aż łuny zapłoną".

Ten drugi B. jest prezesem Związku Pisarzy, a więc ośrodką, który powinien znać wagę słowa. Słowo się łatwo rymuje, ale, parafrazując ludowe przysłowie "wylatuje ptakiem, a wraca trumną".

Jakże emigrant ma sobie rozszyfrować te poetyckości? Czy nie tak, że kiedy dwójka da znak Polakom (błysnie na boczku — na ugorze), miliony będą walczyć, ale tysiące Polaków umierać. I jak ma "ostrzyć miecz", czekając na te łuny? Pewno, płacąc składkę na utrzymanie władz kombatanckich.



Dlaczego moje przypuszczenia co do rozwoju wypadków, które dotychczas w dwóch trzecich się sprawdziły, były traktowane jako paradoksy, kiedy opierały się na niezmiernie prostych przesłankach:

1. Tamtą wojnę Niemcy prowadzili cztery lata, mając przeciw sobie Amerykę, Anglię, Francję, Rosję i Włochy. Tę wojnę wiele lepiej przygotowały, miały za sobą Włochy i pomoc Rosji, nawet więc licząc się, że i Ameryka i Rosja do wojny przystąpią, można było czas wojny przewidywać o 50% dłuższy bez zgrywania się na proroka.

2. Skoro się przewidywało klęskę Niemiec ze względu na re-sursy ich przeciwników, a ci przeciwnicy nie nieśli żadnej nowej idei, było jasne, że wojna rozpoczęta w 1914 nie może zakończyć się w tysiąc dziewięćset czterdziestym którymś żadnym trwałym zwycięstwem, bo umierające epoki trwałych zwycięstw nie odnoszą.

3. Po za Niemcami ideę zdobywczą reprezentowała Rosja. Można więc było przewidywać, że w zmęczonej Europie powo-



jennej naród najliczniejszy, opanowany tą ideą i o najniższym standardzie życia, a więc i najmniej zmęczony — będzie grał rolę decydującą. W rozumowaniu popełniłem błąd “wiszfulinkowaty”, zapowiadając roczną preponderancję Rosji w Europie. Dopiero w memoriale, złożonym 1 sierpnia 1944 r. na ręce kpt. Gierata jako p. o. szefa Oddz. Kult. i Pr. II Korp. ostrzegłem, że Europa będzie frontem drugorzędym i że: “nie chcąc płacić weksli, które do niej będą wyciągać komuniści wszystkich krajów, Rosja będzie utrzymywać kordon od Europy”.

Na ogół poprawny, jak się okazało już w pierwszych trzech punktach całokształt rozumowania w “horoskopie” jest więc tak nieskomplikowany, że żadnego zaszczytu rozumującemu nie przynosi. Rzeczą natomiast godną uwagi na przyszłość i w najwyższym stopniu niepokojącą jest, że ludzie po prostu odrzucają logiczne rozumowanie, jeśli prowadzi do niepożądanych wniosków. Pamiętam, jak przybysz z kraju dowodził, że wojna przędko się skończy; spytany, na czym opiera swoje twierdzenie, odpowiedział — “bo jeśli dłużej potrwa, to kraj tej sumy cierpienia nie wytrzyma”.

Rozumowanie bardzo typowe.



Pragnąc uporządkowanego życia, nie dopuszczaliśmy myśli, że na to nie wystarczy jedna faza — pobicie Niemiec, tak jak teraz nie dopuszczamy myśli, że nie wystarczy następna faza — pobicie Rosji.

Kiedy w kwietniu 1941 r. na Cyprze postawiłem w pogadance tezę, że przyłączenie się Rosji do aliantów będzie dla nas klęską, przysporzyłem sobie sporo ostrej niechęci.

Teraz nawet dla amerykańskich izolacjonistów konflikt z Rosją jest nieuchronny.

Natomiast — czy rozumiemy, że pobicie Rosji nie by nie załatwiło i przeciągnęło walkę w imię nowej epoki o czwartą wojnę?

W kwietniu 1940, żegnając się na dworcu bukareszteńskim z córką, odjeżdżającą do USA, powiedziałem:

— Cóż, jesteśmy w dwóch obozach. Ja życzę zwycięstwa aliantom, bo chciałbym mieć jeszcze nieco jakiego takiego życia. Ty, z twymi osiemnastu laty, masz większą marzę czekania i większą możność ofiary. Wolałabyś, żeby się wszystkie ciężary zmeły w zaraniu twego życia za cenę spokojnej młodości twoich dzieci.



Dla widzących przed sobą już tylko jedną fazę, konkluzja jest mniej skomplikowana. Natomiast dla ludzi, mających pogląd zbliżony do mego “horoskopu” w 1940 decyzja nie jest prosta.

W 1940 sądziłem, że alianci zwyciężą, ale nie potrafią urządzić świata.

W 1949 sędzę, że Rosja zwycięży, ale nie potrafi urządzić świata i rozleci się.

Iść ze stroną skazaną na przegranie przeciw Rosji jest bezmyślnym samobójstwem, a walka o rzekome walory kultury zachodniej — zakłamanie publicystów, którzy potrafią recytować Wyspiańskiego, ale z ekonomii politycznej nie przeczytali nawet jednego podstawowego podręcznika. Pan gorąco pisze, że nieznamość marksizmu jest zbrodnią. W każdym razie, w chwili obecnej publicystyka nie mająca pojęcia o gospodarczych i socjalnych przeobrażeniach świata jest ciężkim przestępstwem.

Iść z Rosją, która jest tylko narzędziem wydoskonalonym dla rozbitcia starej epoki, jest to upust krwi i zamylenie drogi narodu kosztem doraźnych zysków.

Mając mało zapasu do angażowania się w walkę fazy przejściowej, mamy bardzo ciężką sytuację psychiczną. Boję się, że Pański Klub Trzeciego Miejsca, do którego zgłaszam akces, może okazać się klubem filozofów-milczków, spoglądających na siebie z zakłopotaniem, jeśli nie, po prostu besserwisserów, malkontentów, a może i przełazem w barykadzie dla dezertów.



Zanim się w tym klubie dorobimy jakichś pozytywnych koncepcji, już będzie niewątpliwą zasługą, jeśli podważymy łatwe rozwiązania i przyczynimy się do otwierania oczu na długofalowość odbywającego się procesu.

Kiedy tylko zakończyła się wojna, w maju 1945 r. zapytałem pewnego pułkownika, szefa bardzo ważnego oddziału sztabu, co przypuszcza, że będzie za rok.

— Będziemy pod Kijowem — odpowiedział bez zająknienia.

Kiedy to powtórzyłem generałowi, odpowiedział:

— Pułkownik ma rację, że będziemy w wojnie z Rosją, ale, moim zdaniem, za rok będziemy jeszcze prowadzili opóźniające działania na Sycylii.

Zwróciłem się do jeszcze bardziej miarodajnego generała:

— Wojna rozpocznie się jak nie tego, to na pewno następnego września.

Póki to mówią wojskowi, to niech tam. Tylko w naszym zakłamaniu generałowie są mężami stanu, a nadto często dyspozytorami pieniędzy i stąd ich opinie stają się obowiązujące. Tu jest próg klęski.

— Panie generale — prosiłem trzeciego generała — niech pan da młodzieży pozdawać matury.

— My nie Cześci — wydał usta.

Rozmowa odbywała się w Palestynie; pogardzaliśmy wówczas Żydami, że się wykręcają od wojny z Hitlerem. Ci pogardzani Żydzi dowiedli, że potrafią umierać, kiedy tego istotnie potrzeba. A my wyróżniliśmy tę naszą młodzież po Teheranie i Jałcie i gotowi jesteśmy to co pozostało wyrzynać w dalszym ciągu.



Kiedy po mowie Churchilla 2-gi Korpus jechał krwawić się do Włoch, oburzenie wywołałem artykułem "Sygnały wśród nocy".

Cytując relacje posłów polskich u mocy ościennych o przygotowywanym zamachu na polskie terytorium, przytoczyłem słowa Sołtyka: "Drętwieją usta od wymówienia co za nieszczęścia są przygotowywane dla naszej Ojczyzny". Przypomniałem, że walki przed półtora wiekiem na tych ziemiach na których walczyć mamy zakończyły się Mantuą, traktatami w Campo Formio i Luneville i wysłaniem na San Domingo (San Domingo nie było przymusowe; ale kto nie chciał wracać do kraju, a nie miał z czego żyć, mógł zapisać się do tamtoczesnego PKPR).

"Znalazłszy się na ziemi włoskiej" — pisałem — "z drżeniem wewnętrznym słuchamy tego głosu sprzed wieków, my, którym też drętwieją usta, kiedy mówimy o nieszczęściach przygotowywanych dla naszej ojczyzny".

Czy tego rodzaju publicystyka nie jest teraz tym bardziej potrzebna?

Jesteśmy jak gromada dzikusów, która miała brać udział w pięćdziesięciokilometrowym biegu. Na byle gwizdek byle jakiego Drugiego Oddziału podrywaliśmy się i gotowi jesteśmy podrywać się do stumetrowego sprintu.

Wówczas, kiedy pisałem "Sygnały wśród nocy", a ów generał pouczał mnie o potrzebie wyrzucenia młodzieży, mimo wyrazistości tych sygnałów, narody rozmierzały dech, król duński nie opuszczał zajętej przez Niemców Danii, nie emigrował Leopold belgijski, Petain siedział w Vichy, Holendrzy robili dobre interesy, Benesza dublował Hacha, a ci sami Anglicy dali po zakończonej wojnie burmistrzom wysp na kanale odznaczenia za kolaborację z Niemcami. Zapewne, żeby ukoić ich rozżalenie: w czasie wojny nie dali im ani jednego zrzu- tu z bronią, sobie odejmując od ust i wszystko dając Polsce.

Więc wytłumaczyć dojutrkom, żeby się nie rwali do sprin- tu i że ponownie stoją przed fazą długą, to nie jest wszystko, ale to już będzie bardzo dużo.

## STARA EPOKA

Dla czego stoimy przed długim procesem?

Bo nie ma strony predysponowanej na zwycięzcę. Co innego wojna lokalna (mimo rozbudowanych peryferij taką jeszcze była wojna ostatnia), a co innego jeśli jedne pół globu ma opanować drugą połowę. Takich resursów materialnych i ludzkich żadna ze stron nie posiada. Opanowanie jednej połowy globu przez drugą jest możliwe tylko przy równoczesnym opanowaniu ideologicznym. Tymczasem żadna ze stron nie reprezentuje idei zdolnej pociągnąć ludzkość.

Słuchałem niedawno *Town Hall meeting*, nadawanego z Berlina. Jest to impreza amerykańska, objeżdżająca różne kraje z gotową ekipą prelegentów amerykańskich, którzy dyskutują

z zaproszonymi działaczami i przedstawicielami społeczeństw. Poza mówcami z urzędu z obu stron, zapowiadany w programie, w drugiej części programu sięga się po impromptu z sali.

— O, student! Tu jest student, przedstawiciel Związku Młodzieży — cieszy się speaker. — Młody człowieku, młody człowieku, kto wam się więcej podoba: my czy wschód?

— Nie bardzo mamy co wybierać — słyhać w głośniku — oni nas częstują Marksem sprzed stu, a wy — liberalizmem sprzed dwustu lat.

Dla młodego Niemca, tak jak i dla młodych ludzi innych krajów nie może przedstawiać atrakcji obóz, którego kultura jest szczytowym wynikiem liberalistycznej kapitalistycznej epoki. Wszelkie rozpaczliwe próby przełączania biegu na nowy system są połowiczne i kończą się fiaskiem. Przodująca w tych próbach Anglia doszła już nawet... do embrionalnego klasycznego marksizmu, który dawno już w Rosji został porzucony. Jej rządy socjalistyczne dbają nie tylko o to, aby wszystkie konie miały równy start, ale aby równocześnie przybiegały do mety.

Jakże stają do śmiertelnego wyścigu? Kapitalistyczną podniecie (nadzieję dorobienia się) tępią, a bolszewickiej (norma i różne kotły) nie przyjęli, bo akord to nieładna rzecz i potępiana przez socjalizm. Rozpięcie płacy między niekwalifikowanym robotnikiem, a kierującym inżynierem, które i n c r u d o (nie licząc deputatów itp. przywilejów) jest w Rosji ośmiokrotne, w Anglii, dzięki niwelowaniu podatkowemu jest o wiele mniejsze.

A przecież Anglia — to największe napięcie woli i charakteru po tej stronie barykady. Powinnaby być leaderem duchowym przyszłej walki. Ale leader jest zbyt zajęty wyprowadzkami z różnych punktów globu i problemem związania końca z końcem. Dla sprawowania rządów w tych trudnościach potrzebni są ludzie mierni, ponieważ rozumieją oni wszelkie małe pragnienia ludzkie: jadła, ubrania, mieszkania.

Gdyby Anglią rządili ludzie na skalę wymagań światowej chwili, również niczego by nie dokonali. Bo ludzie wielcy są przydatni w warunkach sprzyjających wielkości. Robespierre byłby w Polsce najwyżej Kostkiem-Biernackim, a pułkownik Napoleon z powodu ekstrawagancji w grach wojennych nie mógłby się dochrapać generała.

Dla Anglii, która stworzyła jedność harmonijną świata w XIX w., kiedy Bank Angielski był niekoronowanym koordynatorem globu, warunki sprzyjające wielkości minęły. Toteż ci ludzie, którzy nią rządzą, są najlepsi: jest przynajmniej regularnie całotygodniowy boczek w sklepikach i jakoś się żyje. Regularność jednak boczku w sklepikach nie ma na tyle atrakcyjnej siły, by olśnić młodzież w wygłodniałym Londynie. Cóż dopiero, aby poprowadzić krucjatę. Dlatego ma rację lewicowy prof. Carr, że za lewicowych rządów w Anglii — w Europie stwarza się *v a c u u m* ideologiczne. Gdyby rządili konser-

watyści, byłoby to *samovacuum* w Europie z tą różnicą, że w Anglii nie byłoby regularnego boczku.

Jeśli więc Anglicy pocieszają się swymi reformami, to równie dobrze mógłby w upadającym państwie Rzymskim pocieszać się Rzymianin, że wszak idzie ku naprawie, bo wchodzi w życie reformy Dyoklecjana.

Ale te reformy runęły pod naporem Wschodu od zewnątrz, chrześcijaństwa od wewnątrz. Apokalipsa — to jest jeden hymn nienawiści do Bestii (państwa rzymskiego).

Jakiż Dyoklecjan czy jaki Attlee może zatłumić taką lawę tęsknoty plasterkami regularnie fasowanego boczku?

Istota rzeczy polega nie na poprawkach, tylko na zburzeniu starego gmachu pod gmach nowej epoki.

Kiedyśmy patrzyli, siedząc na ławach uniwersyteckich przed tamtą wojną, na kredę w palcach profesorskich, znaczącą na tablicy kolumny cyfr, dusze nasze ogarniał apokaliptyczny niepokój, który sprecyzował już Spengler w 1914 r. Wzruszano ramiionami na "ekscentrycznego" Spenglera, ale teraz już świadomość, że się coś olbrzymiego święci poczyną czepiać się uczonych narodów nasyconych, a więc nieimaginatywnych.

Tak na przykład K. A. L. Fisher, P. C., D. C. L., F. B. A., F. R. S., profesor oxfordzki, w przedmowie do swej półtoratysiącstronicowej "Historii Anglii" (1936) jeszcze się upiera: "Ludzie mądrzejsi i bardziej uczeni ode mnie notują w historii rytm, z góry predeterminowany wzór, którym ta historia się pełni. Te przyczynowości (*h a r m o n i e s*) są niedostępne dla mnie. Jestem w stanie zauważyć tylko jeden kryzys następujący po innym". Ale to już syreni głos. Już i Anglicy jak Christophore Dowson poczynają spostrzegać, że "chwila, którą przeżywamy, może być porównana z okresem, kiedy zapadła się wielka myceńska cywilizacja" (1932 r.).

"Bo historia jest jak życie" — zamyka Van Loon swoją "Historię ludzkości" — "im więcej się rzeczy w niej zmienia, tym bardziej są one te same".

Tylko, że przymierzając swój drobny kawałek współczesności do rozpięcia tysiącleci, trudno jest czasem uchwycić, gdzie jest ogon, a gdzie głowa.

Jakaż jest różnica pomiędzy największymi choćby wstrząsami, a tym, co nazywamy poczęciem się nowej epoki? Różnica dla współczesnych jest bardzo zamglona. Ścięcie Karola I (pomazańca!) na pewno mogło się wydawać współczesnym końcem starego świata. I w trzy wieki po tym fakcie możemy dowodzić, że było początkiem demokracji, że gdyby nie egzekucja Karola I, to by się nie rozwinęła filozofia Locke'a, a bez niej nie powstałoby encyklopedyści, a bez encyklopedystów — rewolucja francuska. Niewątpliwie w ciągłości dziejów każdy fakt ma znaczenie i w każdym pokoleniu każdej piątce entuzjastów,



która przeniesie przez granicę siedem siodeł może się zdawać, że poczynają nową epokę.

Wziąwszy jednak należytą perspektywę, musimy sobie powiedzieć, że *na granicy dwóch epok stoi wstrząs rewolucyjny* (ścięcie Karola I było niczym innym jak ogniwem ewolucji, aczkolwiek polegało na gwałcie) *ogarniający całą w danej epoce notowaną dominantę kulturalną*.

To znaczy, że zmiana epok jest cechowana przez:

1. Niemożność znalezienia wyjścia z impasu w granicach środków, którymi rozporządza epoka.

2. Zniszczenie tej epoki drogą fizycznego łamania przez siły uposażone przez nadciągającą epokę tylko w wartości jednostronne, usprawniające burzenie.

3. Przez poczęcie się nowego życia powszechnie i niejako biologicznie na gruzach starej epoki *i sił, które ją zniszczyły*.



Nigdy jeszcze niemożność wyjścia z impasu nie zarysowała się tak ostro. Przekonanie Adama Smitha, że *All the ills of democracy can be cured by more democracy* (wszystkie niedomogi demokracji mogą być uleczone przez jeszcze więcej demokracji) trzyma się nikła garstka epigonów XIX w. Ludzkość, która liczy już przeszło dwa miliardy głów i oczekuje, jak obliczają nowocześni Maltusowie, koło 1980 r. ostatecznej katastrofy głodowej na tym zżartym przez erozję globie, domagać się poczynnie coraz większym głosem gospodarki planowej w skali globalnej, o ile możliwszej teraz, kiedy świat, wskutek wynalazków technicznych, tak zmalał i zbliżył się. Ale to fizyczne zbliżenie się świata nie zaradzi złemu bez wykorzenia instynktów i bez zburzenia urządzeń starej epoki. Nie wystarczy tu ewolucja, demokracja, liberalizm, oświecenie i inne ładne rzeczy, w które ślepo wierzyli równolatkowie Adama Smitha. Forma życia, która przyjdzie wziąć ten świat za łeb, będzie rozporządzała zespołem cech na które nie potrafimy napisać recepty, nim jej nie napisze życie.

Świat naprzód trzymała za łeb międzynarodówka monarchów, od rewolucji zaś francuskiej aż do pierwszej wojny światowej kompromis polityki (liberalnego nacjonalizmu) i ekonomiki (międzynarodowego autokratyzmu).

Wybuch pierwszej wojny rozpoczął dzieło prucia starej epoki.

Kiedy stary system umiera, zawsze wysiłkom ratowania jego towarzyszą jaskrawe ekscesy. Takim ekscesem był Traktat Wersalski, oparty na kłamstwie, że narody są równe. Rozbestwiwszy "suwerenów", zamieszawszy politycznie w Europie, nic nie zrobił, by jej życie unowocześnić ekonomicznie. Ekonomiczny autokratyzm międzynarodowy nie ostał się wobec rozbestwienia autarkicznego. **B a n k o f E n g l a n d** był bezsilny, jak bezsilny jest dobrze wychowany lord wobec urągliwego tłumu. Ten urągliwy tłum państw od Estonii po Luksem-

burg poczuł się nagle wzmocniony przez ugruntowanie wpływów robotniczych. Stan robotniczy, osiągnąwszy wpływy, stał się sojusznikiem państw — potworków. Dawniej międzynarodówka królów dbała o utrzymanie bezpieczeństwa, teraz masy robotnicze dbały o wyżywienie. W tych staraniach stały się sprzymierzeńcami “swoich” państw i nagle socjalizm stał się najpewniejszym sojusznikiem przemysłowców w staraniach o cła i subwencje, nagle socjalizm stał się rzecznikiem najreakcyjniejszych zakazów imigracyjnych.

Trudno uwierzyć Polakowi, któremu związki zawodowe nie pozwalają zwiększyć płacy, udzielić lepszej pracy, albo zyskać “seniority” porówni z angielskimi kolegami — że ma do czynienia z kierunkami reprezentującymi postęp ludzkości. Socjalizm stał się czynnikiem pogłębiającym różnice międzynarodowe. W żadnej epoce nie było takiego wzrostu megalomanii narodowych. Będąc w Rumunii i we Włoszech dowiadaliśmy się, że te narody uważają swoich żołnierzy za najlepszych żołnierzy świata. Odwrotnie, pamiętam gorzką lekcję, jaką dał mojej megalomaniiii narodowej oficer czeski, demonstrując w czasie klęskowych dla Czechów dni zaolziańskich, że nasze uzbrojenie to szmelc, który Czesi byliby szczęśliwi, jeśli by się im udało wcyganić go jakiemu Urugwajowi. A myśmy myśleli, że “polskie ostatki lepsze, niżli czeskie dostatki”.

Nie lepiej było gdzie indziej. Wieża nonsensów — pojęć o świecie, które nosił na swoim grzbiecie jakiś Dubois czy Smith, zupełny brak sensu światowego, odjęte wszelkie możliwości powszechnego planowania, ubogie, prowincjonalne, siekierą ciosane umowy kompensacyjne i rozbuchana megalomania — oto czynniki, które paliły pod kotłami wojny światowej.

A my jesteśmy przekonani, że począł ją niedobry Hitler. Jest taka szkoła historyczna, która przypuszcza, że gdyby Kleopatra miała brzydki nos, nie rozpołowiłoby się imperium rzymskie i inaczej potoczyły dzieje ludzkości. Ta szkoła może sądzić, że gdyby w swoim czasie dobra wróżka podsunęła staremu Schickelgruberowi środek zapobiegawczy, nie byłoby Oświęcimia. W każdym razie z powagą dowodzą, że nie byłoby go, gdyby nie dano zająć zagłębia Saary, nie prowadzono polityki monachijskiej itd.

Sądzę, że rozumują zbyt łatwo. W 1919 r. narody dostały miejsce w świecie nie z tytułu siły, lecz z prawa. Skorzystały z niego w ten sposób w tym smutnym okresie międzywojnia, że obaliły nie tylko ekonomiczny porządek świata, ale poczęły krępować prawa jednostki nie na rzecz dobra publicznego ludzkości, lecz na rzecz humbugu, który nie mógł się ostać. Oparły się na ostatniej klasie, która najdłużej nie miała praw, wciągnąwszy ją w swoją orbitę, pozbywszy się, z grubsza mówiąc, problematyki wewnętrznej, stanęły wzdętym megalomańskim suwerennym szaleństwem wobec świata, który nie miał nad nimi żadnego prawa. Ten świat musi dopiero przekuwać

swoje narody jako jednostki wspólnoty. Bo *internationalism is the socialism of nations* (Wells).

Tam, gdzie nie ma prawa, przychodzi bezprawie. Przyszła druga wojna z kompletnym podeptaniem praw narodów, mordami stosowanymi administracyjnie, masowymi przesiedleniami i fizycznym wyniszczaniem całych kompleksów narodowych.

Spójrzmy na moce bezprawia, desygnowane na władców międzyepoki.

## MOCE ROZBIJAJĄCE

Moce, które przyszły rozbijać tę starą epokę, były i są zaopatrzane jak się zaopatruje oddział szturmowy: tylko w sprzęt potrzebny dla dokonania dzieła zburzenia.

Dzieje nakazały im zburzyć epokę, która zbyt dbała o jednostkę (międzywojnie, kiedy tę jednostkę poszturchiwano było tylko tej epoki schorzeniem) na rzecz epoki w której przyjdzie planowanie. Z arsenału więc nadciągającej epoki wzięły tylko to, co doraźnie miało wesprzeć uderzenie: kompletne nie liczenie się z jednostką, odrzucenie pokrycia złotem, miernik pracy, metody totalne i etykę portatywną jak miotacz ognia. Rzecz ciekawa — podczas, gdy burzycielom dane było przecucie techniczne metod nowej epoki, dającej im górę nad obrońcami starej, w dziedzinie uzasadnienia filozoficznego nie wyszli poza przystosowanie użytkowe swojej filozofii do doraźnych potrzeb rozbijania. Podstawy filozoficzne tych ludzi, którzy stworzyli nowoczesne metody walki, tkwią głęboko w materializmie XIX w.

Myśl ludzka ucieka od walczących potworów XIX w., tuła się nieśmiało, odwraca się od racjonalizmu, hołduje empirii, przyjmuje do wiadomości rezultaty badań, choćby były różne od powziętych założeń, spostrzega ze zdumieniem, ale i z pokorą, że oba różne wyniki są przeprowadzone prawidłowo, uczy się, że to, co braliśmy za realia — nie istnieje, a to, czego nie spostrzegaliśmy jest przyczyną. Myśl tuła się w tym straszliwym świecie. Ma pan rację, że jest ona jak sieć pełna dziur. Zbieramy jej okruchy jak biblijna Ruth na tym nowoczesnym ściernisku, po którym przeszły wspaniałe, zarozumiałe maszyny. Przyniesiemy te wątle, pominięte, a najważniejsze, kłosa do Klubu Trzeciego Miejsca. Takich rąk jak nasze będzie tysiące, będzie coraz więcej. Wszędzie coś wykiełkuje i nagle świat pokryje zielona ruń.

Ale wróćmy do tego co Anglicy nazywają "plain talk".

Mamy uderzenie na świat drugiego po nazizmie czynnika zniszczenia, przed którym tym razem epoka się nie obroni.

Polacy lubią pozować wobec świata na znawców Rosji, zapominając, że patrzyli na Rosję z za krat, z za których obserwacja jest bardzo jednostronna. Patrzyłem bardzo z bliska na Rosję w czasie jej rewolucji, patrzyłem na nią w 1934 i patrzyłem w czasie inwazji 1939 i mego krótkiego uwięzienia zakoń-



czonego ucieczką. I aczkolwiek patrzenie w 1934 z okien sleepingu i inturystycznego hotelu mogło być nie mniej jednostronne, niż patrzenie rodaków w 1939, pochlebiam sobie, że opinie wyrażone w mojej "Opierzonej Rewolucji" są bardziej uzasadnione, niż opinie tych, którzy uważają, że Rosja jest krajem niewolników, trzymanyh przez nity G.P.U. Sądzę, że poziom tych opinii jest ten sam, który nam mówił o papierowych czołgach po anszlusie Wiednia. *Wishful-thinking*, któremu poświęcam tyle miejsca na wstępie swego listu, ma tak potężne właściwości mroczenia, że tuż przed wojną polsko-niemiecką poważny solidny działacz, kierujący polską robotą w Niemczech zapewniał mnie, że Niemcy powszechnie nie chcą wojny. Jego opowiaduszka o jakimś autobusie między Berlinem a Potsdammem, z którego publiczność przy czynnym udziale konduktora wyrzuciła młokosa, opowiadającego się za wojną, była powtarzana przez wszystkich uradowanych generałów i mężów stanu i niemało przyczyniła się do pogodnego przygotowywania Święta Gór.

W sześć lat potem oglądaliśmy pod Bolonią ostatnie linie zgasłej wojny. W każdym bunkrze siedział trup. Byli to ci "przeciwnicy wojny", zmuszani przez Gestapo", którym nakazano kosztem życia osłaniać ostatni odwrót.

Opowiadała mi znajoma, przybyła z Polski, jak żołnierz rosyjski nie pozwolił jej przewiązać broczącej arterii. Kiedy mu tłumaczyła, że umrze, odpowiedział z fatalizmem: *Nas mnogo*.

Wzdrygamy się na ten obcy świat, ale nie mówmy, że go sztucznymi nitami trzyma G.P.U. lub Gestapo. Siły zniszczenia mają swoją ideologię. "Czy nie możecie na chwilę przypuścić" — powiedział do mnie w podziemiach Monte Cassino ciężko ranny spadochroniarz, podnosząc oczy znad ornatu, na którym leżał — "że może być i inna ideologia".

Możemy i powinniśmy. Docenienie przeciwnika, to nie defetyzm. Jakże by się chciało optymistycznym dygnitarzom sprzed września powiedzieć słowami z "Odprawy posłów greckich":

O królu, teraz się bać lepiej, bo za taką  
Bojaźnią i opatrność i gotowość rośnie.

Te słowa teraz, kiedy siły zniszczenia odbyły pół drogi dopiero, są równie aktualne.

I dlatego błazeńskie gadanie o Rosji jest szkodliwym męczeniem w głowach.

Ludzie dzięki takiemu gadaniu nie widzą co się dzieje, tkwią w przekonaniu, że czas stanął i czeka na ostateczną rozgrywkę. Tacy ludzie są niby publiczność, która zajęła miejsce w cyrku i patrzy na arenę, na której się mają zacząć zapasy. Ponieważ ich zdaniem na arenie nic się nie dzieje, więc nudzą się, kręcą się na miejscach, wzajemnie zanudzają się z sąsiadami pytaniami "kiedy" i oddają się pojadaniu i innym drobnym czynnościom.

Tymczasem na arenie Historii dzieje się i dzieje się dużo. Co dzieje się w skali światowej, będę mówił potem. Ale dzieje się dużo w Polsce.

Jest proces leczniczy, polegający na przetaczaniu krwi chorego: krew z ręki wstrzykuje się w udo i odwrotnie. Gdyby rządy bolszewickie w Polsce nie miały nic dobrego w sobie, żadnej myśli, żadnego ideowego zaczynu, gdyby były również odcięte od społeczeństwa jak rządy nazistowskie, to i wówczas nawet wystąpiłyby pomyślnie symptomy, polegające na przetaczaniu krwi. Może by nie zrównoważyły ogólnej utraty krwi, ani ostatecznego pasywnego bilansu, ale nie wyobrażam sobie socjologa, który by ich nie uwzględnił.

Otrzymałem z kraju ciekawy list, ilustrujący to "przetaczanie krwi". Pisał go eks-harcercz, z którym w drugim dniu wojny objeżdżałem miejsca pracy drużyny harcerskiej, pomagającej wojsku i policji oraz miejsca, dotknięte pierwszymi zniszczeniami wojennymi. Powstał z tego artykuł wstępny pt. "Życie i śmierć", którego rewizję jeszcze zdażyłem w "Wiadomościach Literackich" zrobić, ale ten ostatni numer już nie wyszedł. Śmierć — to były trupy oglądane, mózg dziecka na ścianie sierocińca żydowskiego w Otwocku, w którym zginęło 28 dzieci, ich trupki zwęglone, a życie — to te pyzate buzie harcererek z mysimi warkoczami, które sapiąc dźwigały konwie z wodą, chłopców harcerzy, pracujących dnie i noce pomocniczo w instytucjach wojskowych i przeżających się przed wizytującym zwierzchnikiem.

Odtąd wracałem nieraz myślą do nich i do tego ich komendanta.

I oto nagle — już tu, w Stanach, doszedł mnie list od tego chłopca, który już stał się mężczyzną. Pracuje w Pogotowiu Ratunkowym. "Niech Pan sobie wyobrazi moje zdumienie" — pisze do mnie — "gdy się przekonałem, że w Warszawie w sposób zupełnie rewelacyjny spadła liczba samobójstw. W przedwojennej Warszawie, przeciętna roczna samobójstw wynosiła 1.100, w obecnej więc, w tej samej skali winna by wynosić 550, uwzględniając, że teraz jest dwa razy mniej mieszkańców. Sądziłem jednak, że będzie więcej, bo jakież poszarpanie nerwów przeszła ta ludność. A tymczasem w roku zeszłym było sto dwadzieścia trzy. Wtedy wejrzałem w przedwojenne statystyki, które były publikowane. Przytłaczająca ilość samobójców przedwojennych, to zawody miłosne biednych dziewcząt, których znakomitą większość stanowiły służące i chronicznie bezrobotni. Teraz nie ma bezwzględnie (jest czasem okresowe) bezrobocia i znikła masa służby domowej. Tak i tłumaczą lekarze, bardzo zresztą dalecy od marksizmu i mnie się to wydaje papierkiem lakmusowym pewnych efektów ustrojowych. Życie w Polsce nie jest proste i na pewno buja ten, kto wmawiał Panu, że istnieje u nas tolerancja, ale też ma ono i swoje bardzo osobliwe uroki, zwłaszcza dla kogoś, kto rad jest starannie

obserwować ten arcyciekawy proces wykluwania się nowych form społecznych”.

Istotnie, widać w Polsce, która nie zaznała nigdy rewolucji ani gwałtownych przetasowań klasowych, bo zawsze w niej *priority* utrzymywały zagadnienia niepodległościowe, takie przetaczanie krwi wyzwała niespodziewanie wiele utajonych sił, do których wyzwolenia na próżno wzywał autor “Przedwiośnia” i tytułu najlepszych w narodzie.

Po rewolucji, rosyjskiej kiedy poczynające się państwo niepodległe stało na drżących nogach, a prawica i lewica, garnąc się ku sobie, chuchały na organizm, który przyszedł na świat, na zatloną iskierkę, na jednym z konwentykli Edward Dow-narowicz biadał, że “Jeżeli panowie z prawicy nie przyjdą nam z pomocą, lejce wypadną nam z rąk, a wtedy biada nam wszystkim”. Na co Thugutt odpowiedział: “Ja wolałbym raczej te lejce rzucić na wiatr, za jedyną bowiem rzecz w tej chwili Polsce potrzebną uważam wielki hebel, który by zdarł z drzewa narodowego wszelką pleśń i zmurszałość, wydobywając na wierzch zdrowy rdzeń”.

W rok potem Thugutt został premierem, i “wielki hebel” zmienił się w wyśmiane i łatwo zapomniane dekrety o pozbawieniu orła korony i zakazie wystawiania w oknach sklepów spożywczych towarów luksusowych.

Teraz aż za wiele hebli — bitewnych, oflagowych, katyńskich, oświęcimskich, emigracyjnych, przesiedleńczych i dyskryminacyjnych przejechało po Polsce.

Znikło ziemiaństwo, arystokracja, plutokracja, Żydzi, inteligencja została wylusknięta z form kulturalnych, wytworzonych przez dawne życie, co dla większości jej równa się wyrokowi śmierci i “sheblowaniu z powierzchni polskiego życia”.

Ludzie z wykształceniem szkoły powszechnej zostają dyrektorami fabryk, “nie matura, lecz chęć szczerą robi w Polsce oficera”, krzywo się z tego chamstwa natrzęsają kelnerujące panie i ich tapicerujący mężowie, a tymczasem czytelnictwo wzrasta, teatry wypełnione, uzdrowiska pękają od robotników, na miejsce Żydów wchodzą warstwy chłopskie, stwarzając na razie mieszczaństwo, którego Polsce brakowało. Temu mieszczaństwu nie będzie dane się rozwinąć, ale ci ludzie już z osiągniętego szczebla w tył nie wrócą. Istotnie — hebel darł wiele głębiej, niż pozbawienie orła korony.

I znowuż niech mi wolno będzie zacytować list, który napisał do mnie nasz towarzysz broni na emigracji. Wysłany przez rząd gen. Sikorskiego z niebezpieczną misją do kraju, ujęty przez Niemców w drodze na Bałkany, siedział rok w niemieckim więzieniu, następnie (nie mam dokładnych wiadomości ile) w oddziale zarządzanym przez Rosjan w więzieniu na Mokotowie. Oto co pisze:

“Jesteśmy teraz w Polsce na pełnej fali zmian społecznych, żyjemy w kraju, który realizuje, inaczej trochę, niż to czyniło ZSRR, dyktaturę proletariatu, co nie jest przyjemne dla dużej



liczby ludzi, ale jakże często nawet ci upośledzeni znoszą przemiany o wiele łatwiej, obserwując nie bez zdumienia, ile sił żywotnych, ile energii i pracy ustrój ten jest w stanie wydoستاć ze społeczeństwa. Boję się, czy po tym zdaniu znowu mi Pan nie napisze, że okłamuję siebie samego, żeby sobie ułatwić życie. Otóż nieprawda! Naprawdę ten ustrój swymi partyjnymi i ideowymi metodami potrafi sprawniej realizować duże wysiłki dużych gromad ludzkich, niż jakikolwiek przed nim. Jest to, oczywiście, działanie przez organizację partyjną na masy bezpartyjnych robotników, jest to system premii finansowych, system swoistego akordu pracy, który może w celach jakichś bezwzględnych godzien jest potępienia, ale który w naszej konkretnej sytuacji gospodarczej, sytuacji państwa tak piekielnie zniszczonego, daje rezultaty pożądane i godziwe — przyspiesza odbudowę i wypełnienie tych braków przemysłowych, które dzieliły nas od innych. I jakoś system ten — choć jak każda rewolucja, stawia przed ludźmi trudne wymogi ideowe, szczególnie dokuczliwe dla twórców przyzwyczajonych do innego stylu i zakresu swej pracy — system ten jest pozytywnie przyswajany przez szerokie masy”.

Takich listów otrzymuję więcej — czasem od nieznanych mi ludzi, którzy mój adres otrzymali w redakcji “Tygodnika Powszechnego”. Ale dla mnie są najciekawsze listy od znajomych, pozwalające mi ocenić przemiany jakie zachodzą w ich duszach. Trudno nie zastanowić się nad listem pięćdziesięcioletniej działaczki społecznej, pochodzącej ze starej zamożnej rodziny ziemiańskiej, która teraz jest dyrektorką gimnazjum żeńskiego i z zapałem mi pisze, że nadeszły wreszcie czasy wymarzonej Polski ks. Ściegiennego i innych.

Te wszystkie listy są dla mnie ciekawe nie tyle jako konkretne informacje o kraju — ludzie, którzy je piszą często nie mają ani dostatecznego krytycyzmu, ani miary. Ale te listy są znamienne jako objaw — ci ludzie, niewątpliwie, tak myślą. Przed wojną, by tak nie myśleli. Toteż wolno sceptycznie patrzeć na to co się dzieje w Polsce, ale nie wolno rejestrować zmian w polskiej umysłowości, nie wolno uważać, że na tej arenie nic się nie dzieje i nudzić się, uważając, że świat znajduje się w sezonie ogórkowym i pytając “kiedy się zacznie”. Tak pytają świnki morskie, żując swój liść sałaty i nie podejrzewając, że są już pod działaniem przeobrażających promieni.



Nie jest więc tak, jak się wydaje deklamatorom: że Polacy siedzą na bryle zachodniej kultury, moce piekielne mogą uszczknąć ich fizyczny stan posiadania, ale duchowo — to bryła. Musiałyby te nowowyzwalające się warstwy być infiltratem. Dziękuję za taką perspektywę.

Jeśli jednak nie są infiltratem, a kultura zachodu ma je tak ożywczo przenikać, a wiara w pomoc zachodu ma je podtrzymywać, to spójrzmy: czym aktywnie promieniuje ten zachód?

## IMPAS BRONIĄCYCH

Kiedy wojna wybuchła, zaroilo się na Zachodzie od książek przebudowujących świat. Kto w Boga wierzy drukował plany podziału świata na strefy ekonomiczne, co dzień człowiek nasycał się na jakąś mapkę, z której dowiadywał się, do jakiej konfiguracji została ostatnio przydzielona jego ziemia.

Na dnię tych wszystkich, bardzo awangardowych i śmiałych pomysłów starszych panów z XIX w. spoczywał stary, pocziwy *B a n k o f E n g l a n d*.

Szkoda, że te książki, narajające się jak pchły na psie, zstawało się przed każdą granicą, bo by teraz stanowiły interesujące *p a n o p t i c u m*, dające świadectwo umierającej epoce.

Z tych czasów, dzięki zdarzeniu, o którym niżej, wypisałem cytate z rozmowy p. George Younga w "Contemporary Review" z lutego 1941 r. pt. "Procedures of Economic Federation" (proszę zwrócić uwagę na "wersalizm" już w tytule. Tamtym w Wersalu się zdawało, że mogą politycznie krajać świat bez naruszenia jego formy ekonomicznej — ten tu w tytule mówi o Federacji Ekonomicznej, tak jakby była ona możliwa bez Federacji Politycznej).

Autor radzi zbudować Federację Świata przez skoncentrowanie bankowości (znowuż nieboszczyk Peel kazał się kłaniać). Nie będzie to trudne, bo "brytyjski kapitalizm i rosyjski komunizm, dwa główne motory ekonomiki europejskiej, aczkolwiek bardzo różne, nie są rozbieżne". Autora nie opuszcza słodka nadzieja, że ten motor komunistyczny da się włączyć na prąd kapitalistyczny: *we shall not only be retaining a controlling interest, but also remaining for a time the Managing Director*.

Anglia więc pozostanie i dla Rosji kapitalistycznym kierownikiem i jakie świetne czasy przyjdą: "Możemy jeszcze ujrzyć Europę rządzoną przez Mr. Montague Norman, Herr Schachta, podczas gdy lord Stamp i towarzysz Stalin będą serdecznie współdziałać (*c o r l i a l l y c o n c u r*) z równoprawnych, acz przeciwległych krańców *of the Supreme Council Board*".

Zanim ten numer lutowy *Contemporary Review* dotarł do Palestyny, w okolicznościach wojennych, był kwiecień. Czytałem go równocześnie z wiadomością o śmierci lorda Stampa od bomby rzuconej przez "serdecznie współdziałających" rodaków Schachta.

Kiedy niemiecka ofensywa w Rosji utknęła, ucięło jak nożem plany urządzania świata, budowane na dawnych wzorach. Ostatnim ich pogłosem była Karta Atlantycka, wydana w równe półtora tysiąca lat od erupcji Atylli. Ostatnia czkawka czter-nastu punktami Wilsona i traktatem Wersalskim.

Przy końcu tamtej wojny jeszcze starczało tchu umierającej epoki, by tchnąć go w indywidualności ludzkie. Francja miała Clemenceau i Poincaré, Anglia dynamicznego Lloyd George'a, Ameryka Wilsona, forsującego ideę już anachronistyczną, ale

w którą wierzył, Turcja Kemala, a Polska Piłsudskiego i Dmowskiego.

Obecnie, po wytchłym z nowych koncepcji okresie między dwiema wojnami narody reprezentują jakieś anonimowe numery urzędnicze. Nie nam tylko jednym brak ludzi w zamylonej międzyepoce.

Idealiści stracili trop, siedzą na własnych ogonach jak zdezororientowane ogary i jak zdezororientowane ogary patrzą na myśliwego, by ich ponownie naprowadził na ślad, tak oni wszyscy patrzą na niezmiernie bogatego wuja Sama.

Patrząc na to bogactwo amerykańskie, przypominam sobie amerykańskiego *conducting officer*, którego mi dodano w 5 armii amerykańskiej. Woziłem go swoim wozem i niezmiernie imponował mi i kierowcy, a to nadzwyczajnym spiworem, a to wielce frymuśnym handbagem, a to do nieskończoności pomyslową maszynką do gotowania. Składał i rozkładał to wszystko przy rozmodlonych spojrzeniach kierowcy, aż mi było przykro za tę amerykańską nieporównaną wyższość, za to nasze dzikoludztwo.

Kiedy jednak ostatni gaj skończył się na pięć kilometrów przed Pizą, na której ulicach trwała walka, Amerykanin orzekł, że byłoby to wbrew jego instrukcjom jechać wozem przez ostrzeliwany teren. Teren właściwie nie był niemal ostrzeliwany, bo niemieckie środki ogniowe zbyt były związane walką w mieście, ale wytłumaczyć tego memu Amerykaninowi było nie sposób. Kiedy wieczorem przedostałem się z Pizy z powrotem do popasających w lasku Amerykanina i kierowcy, ten ostatni, wesół chłopak, który i przedtem i potem nieraz dojeżdżał do linii, skonstatował:

— Wiadomo, jak ma tyle dobra, to mu nieśpieszno wykitować.

Kiedy po dziesięciu latach znów wylądowałem w U. S., przypominałem sobie tę maksymę naszego żołnierza i przypominałem żywo wrażenie pierwszego wylądowania w Stanach przed wojną.

Londyn z jego zagonami domków można porównać do stu Kielc plus pięćdziesięciu Radomiów. Ale N. York z jego wrzawą, polującą na moją kieszeń można porównać do umilionowionego Garwolina w dzień targowy. Ta siła inwencji tysięcy najobrotniejszych mózgów zwrócona na to, aby mi wyrwać ten grosz. Ten olbrzymi wysiłek, jakże inny niż wysiłek agresywny przedwojennych Niemiec i obecnej Rosji, lub defensywny powojennej Anglii — skierowany na to, aby uprzeczyć każde życzenie jednostki, dogodzić każdemu snobizmowi, ochronić od każdego wysiłku, ubezpieczyć od każdej nieprzyjemności.

Zatrzymałem się przy oknie sklepu elektrycznego, demonstrującego trzydzieści osiem sposobów użycia elektryczności w pokoju sypialnym. Patrząc na elektryczne kołdry i poduszki,



elektryczne dywany, elektryczne (malowane tonowanym światłem) obrazy u wezglowia, okazujące się lodówkami, elektryczne samogrzające pantofle i elektryczne przyrządy do łechtania pięt, w uchu itd., przypomniałem sobie tego rozbałwanionego przez cywilizację głuptasa spod Pizy i zobaczyłem za nim cienie samotnych obrońców niemieckich bunkrów spod Bolonii i cień tego Moskala umierającego ze słowami "n a s m n o g o"

Szedłem głębokimi wąwozami ulic, nalanymi żądzą użycia aż po brzegi, aż po setne piętra drapaczy chmur. Spojrzałem na mijających mnie ludzi i przeraziłem się: ten tłum Żydów, Włochów, Słowian i czort wie kogo nie wydał mi się narodem.

Przybijały oto do tego kraju — przyплыw za przyплыwem — tłumy nędzne z nizin swoich krajów, z nizin europejskiego bytowania, nie wznoszące nic poza zwierzęcą żądzą spokojnego żarcia aż do napełnienia, aż do przepełnienia kałdunu. W tej pustce duchowej i w tym zgiełku nieustannego bazaru rodzili pierwsze pokolenie, które rzucało się na miód nie mających kresu zachceń. Czajdon (chłop syberyjski) powściągał żonę od natrętnego zapraszania Piłsudskiego do jadła, tłumacząc, że "oni iz otjewszychsia" (że jest z nasyconych pokoleniami). Ci tu — musieli żreć, pośpiesznie żreć gramafony, lodówki, automatyczne pralki, kupować samochody... jeszcze wyższej marki... i jeszcze wyższej...

Rezultaty widziałem w sześciotysięcznym więzieniu w Illinois, w którym nie umieszczano skazanych na okres krótszy, niż dziesięć lat. "Główny odsetek naszych pensjonariuszy" — tłumaczył mi naczelnik więzienia — "rekrutuje się z dzieci pierwszego pokolenia, zrodzonego na ziemi amerykańskiej". To samo stwierdza w swoim klasycznym czterotomowym dziele profesor Znanięcki.

Bardzo różny konglomerat ludzki, który stanowi ludność Stanów Zjednoczonych, liczący w początku tego stulecia 70 milionów, ma ich obecnie 140. Konglomerat ten, sam nie zespolony tradycjami, musiał trawić każdy przyплыw dwukrotnie: raz, w pierwszym pokoleniu, jako jałowiznę kulturalną, dwa — w drugim — jako intoksykację. Jeśli dodać do tego pięć milionów Żydów, którzy się asymilują tylko zewnętrznie, i dwanaście milionów Murzynów, połączonych z resztą obywateli Stanów więzią kulturalną bardzo słabą — musimy sobie powiedzieć, że takiego wlewu w arterie nie przeniósłoby łatwo nawet stary, zasiedziały, jednolity i historyczny naród.

Kiedy przenosimy się myślą do własnego narodu, który jest narodem historycznym, kiedy przypomnimy sobie otoczenie dzieciństwa, piastunki, sąsiadów, rzemieślników, kolegów szkolnych, to, czym żyli rodzice, co mówiła matka i czym żyło całe otoczenie — uświadomimy sobie, jak tym środowiskiem kierowały pewne wspólne bodźce uczuciowe, pewne nakazy moralne, pewne jednakowe predyspozycje, jak nim rządziły pospólne niepisane nakazy, które w efekcie dały Armię Krajową i powstanie warszawskie.

Cokolwiekbyśmy gorzkiego o tym polskim sposobie myślenia mówili, nie możemy zaprzeczyć, że to była atmosfera oparta na wspólnym dorobku kulturalnym i historycznym, rządzona instynktami i imponderabiliami.

Niewątpliwie, że takie irracjonalne pierwiastki mogą prowadzić do zguby.

Ale też naród, który ma je przerobione w swoim dorobku duchowym nie zaczyna każdej dyskusji od A.B.C. — ma już znakomitą część alfabetu przerobioną. Toteż bez tych pierwiastków ludzie tworzą luźne zbiorowiska, nie zdolne do czynów na wielką skalę.

Czynu na wielką skalę — a przecież takim tylko może być rozbicie komunizmu — mogą tylko dokonać ludzie, dla których imponderabilia są droższe nad życie i w imię celu, który pochłonie ich dusze.

Ludzi, dla których imponderabilia są droższe nad życie widziałem przy umieraniu polskich żołnierzy. Nie potrzebowała to być młodzież inteligencka, nafaszerowana hasłami. Takim był pięćdziesięcioletni ospowaty analfabeta Sawczuk, który dobrowolnie wracał w ogień ze słowami "ja tylko proszę Boga, aby duszę moją uratował" i zginął, takimi były tysiące jego kolegów w bitwach, tysiące naszych braci w egzekucjach.

Nie sądzę, by wiele takiego materiału ludzkiego posiadały Stany Zjednoczone.

A czy mają "cel pochłaniający dusze".



W Stanach Zjednoczonych bardzo wiele się mówi o obronie demokracji wobec czerwonego niebezpieczeństwa. Wiele więcej, niż w Anglii. Może dlatego, że Anglicy są narodem o upośledzonej wyobraźni. Ale równocześnie są narodem historycznym i we krwi mają jakąś tensję. Ta tensja sprawia, że każdy Anglik, wysłany do kolonii znajduje swój jednolity styl podchodzenia do *n a t i v e s*, że dwóch Anglików nie potrzebuje przeobrazić za każdym razem od początku wszystkiego od A.B.C., wszystkiego ustalać, bo ten naród dawno przeszedł i opanował alfabet. Na te nieumówione a silne imponderabilia narzucono żelazną szkołę charakteru. Sprawia to, że w decydującej chwili symplicystyczny Tommy, nie interesujący się niczym innym w życiu jak krikiet, zachowa się właśnie tak jak trzeba, jak należy i poczucie obowiązku doprowadzi, znowuż jeśli inaczej nie można, do granic bohaterstwa. "We are illogical people" — mówią o sobie Anglicy, niby krytycznie, a w gruncie rzeczy z poczuciem wyższości. Nie cierpią uogólnień. "Mogą sobie Francuzi ubóstwiać swoją "La Republique" — pisze Wingfield w swojej "Historii Cywilizacji Angielskiej" — "ale Anglik dąży do zdobycia swoich, jego praw, nie "praw człowieka i obywateli, tylko praw poszczególnego Smitha, Browna i Robinsona". Dlatego przy tym usposobieniu nie nadaje się do światowych blitzkriegów ideologicznych. Można by powiedzieć, że ma wstręt do ludzi formułujących syntezy (jakże aż wstydlwym jest fa-



bianizm na tle socjalizmu XIX w.). Jego historycy (np. Oman), kiedy już muszą chwalić mężów stanu, którzy zdali egzamin dziejowy, nie mogą sobie odmówić uszczypliwego komentarza. Każdy Disraeli był u nich "noisy", każdy Knox — "Wilder spirit", każdy Malborough — "scurrilous".

Jeśli więc Anglia nie nadaje się na *pressure-cooker* ideologiczny, przygotowujący *à la minute* danie mogące zastąpić stalinowski marksizm, serwowany jako jedyna potrawa świata, to fakt, że amerykańskie puby są wymowniejsze, niż angielskie jeszcze nie upoważnia nas do przypuszczeń, że z tych gadań o obronie demokracji urodzi się coś konkretnego. Gdybyśmy mieli stawiać na nasilenie gadań, to powinniśmy czekać, że nowe oblicze świata po raz drugi objawi się w paryskim *bistro*. Bo przez paryskie *bistro* płynie historycyzm, wiecznie wywoływany jest duch "Marianny" (gilotyny) i barykad. Ale spadkobiercy St. Justów brząkają tymi rekwizytami tak niefrasobliwie, jak gospodyni z "Pana Tadeusza", trzymająca poślad w rycerskim szyszaku.

W gadaniu amerykańskiej nie brząkają tak patetyczne rzeczy. Deklaracja Niepodległości, której rocznica jest świętem narodowym wygląda w tych rozmowach jak *clever advertising*, które, istotnie, spuściło na Stany Zjednoczone potok tych dobrych rzeczy, jakimi pod Pizą imponował polskimi dzikusom nie chcący się bić Amerykanin.

Sawczuk umierał pewny, że mu nie zostanie odjęte jego najdroższe *imponderabilia* — dusza. Ale do jakich granic można ryzykować obronę lodówki?

Tę lodówkę, to auto, owszem, ubezpieczy się w *Insurance*, a te miliony lodówek, miliony aut w Planie Marshalla, Pakcie Atlantycznym czy w jakim innym ubezpieczeniu. Zapłaci się, dobrze się zapłaci tym, którzy tych wspaniałości będą bronić. Ale granica tych poświęceń utknie na nieprzekraczalnym *fed up* — "jesteśmy znudzeni", które rozbrzmiewało przy końcu minionej wojny, jakże krótkiej, jakże wiele dającej amerykańskiemu żołnierzowi wspaniałego *good time*.

W wojnie totalnej nie wystarczy kupić Hannibalowi trzysta słoni i wysłać go, by przetrzepał skórę przeciwnikowi; w wojnie totalnej trzeba zmobilizować wszystko — a przede wszystkim — świadomość. Jeśli Karolowi VII zwycięstwo zapewniła raczej jego artyleria, którą górował nad Anglikami, niż propaganda Joanny d'Arc, to od czasów Goebbelsa i Kominternu zaden wódz nie poprowadzi zwycięskiej wojny totalnej bez zaplecza, pełnej świadomości i entuzjazmu.

Z dojrzałością publiczną nie jest w Stanach dobrze.

Mieszkalem, na przykład, w Anglii przez dwa lata, w czasie których wałkowało się wprowadzenie powszechnej opieki lekarskiej. Miałem dotyk do tej sprawy jako inicjator i redaktor "Pamiętników Lekarzy" i dlatego śledziłem z zainteresowaniem rozwój debaty. Ta debata zaczęła się teraz w Stanach i na tym przykładzie mogłem porównać poziom wyrobienia spo-

łecznego obu krajów. Przed tygodniem wysłuchałem słuchowiska radiowego, w którym lekarz, w tym systemie jaki jest obecnie przyjeżdża do ubogiej rodziny na pierwsze wezwanie, na pierwsze wezwanie przyjeżdża też zażądany przez niego specjalista, pytają "do którego szpitala mamy odesłać chorego?", a na wszystkie pytania o cenę, odpowiadają dobrodusznie: *T a k e i t e a s y . D o n ' t w o r r y .*

Natomiast w obrazku z przyszłości, lekarz upaństwowionej przychodni daje pytania ze schematu:

— Kto ma ból brzucha, podnieść ręce. Siostró, sześć proszków. Katar, podnieść ręce. Siostró, dziesięć aspiryn.

W Anglii nie pozwoliłaby opinia na tego rodzaju ordynarną propagandę. Kiedy byłem na Cyprze i miejscowe pismo zakpiło z Hitlera, grupa Anglików napisała pismo protestujące.

Prawda, że w Rosji stokroć bardziej się łąe. Jeśli idzie o tę samą pomoc lekarską i profilaktykę, pokazywano mi w szpitalu bolszewickim makietę wzorowego mieszkania, które rząd propaguje i makietę mieszkania w stanie zapuszczenia, co się zwalcza.

— *W t i r a j u t w a m o c z k i* (nabierają pana) — wybuchnęła oczekująca pacjentka — uważałabym, że jestem w niebie, mając to niechlujne mieszkanie. My sypiamy na narach postawionych w dwa piętra.

Ale Rosja, to specjalny twór, odcięty od świata, szkolony na jego rozbijanie. W Stanach jest jednak demokracja, od której głosów będzie zależna skala wysiłku. Jakże ten wysiłek w potrzebnej skali osiągnąć bez oparcia go o najwyższą świadomość?

Wczoraj znowu słyszałem słuchawisko. Na posiedzeniu koncernu przemysłowego pytają promotora zyskowej operacji finansowej, skąd czerpie swoją pewność. "Stąd" — odpowiada rekin — "na czy oparłem całe moje powodzenie". I ukazuje slogan wygrawiowany na teczce "Przez Chrystusa i dla Chrystusa".

Wkraczam na łatwy tor opowiaduszek o Stanach, które tak lubią Europejczycy, złączę więc z niego pośpiesznie. Czytelnik i tak się orientuje, że nie wszystko jest dobrze w kraju wysoków, kiedy równorzędnie z zafundowanymi za grube pieniądze uniwersytetami, muzeami i instytutami badawczymi nauczyciel szkoły powszechnej zarabia mniej, niż niewykwalifikowany robotnik, a trzy miliony dzieci pozostaje w ogóle bez wszelkiej szkoły początkowej.

Bo nie te gmachy, ani w nich wychowane jednostki będą walczyć, tylko ogół. A ogół nie opierzył się jeszcze we własną, nad wszystko mocniejszą, kulturę.

Toteż opinia amerykańska, postawiona wobec skomplikowanej sprawy bolszewizmu, która przerasta jej pojęcie, wścieka się, histeryzuje, robi procesy szpiegowskie, czystki, stwierdzenia lojalności.

Kiedy przyjeżdżałem do US, musiałem m. i. pisemnie odpo-

wiedzieć na pytanie, czy nie jadę w celu zrzucenia siłą rządu amerykańskiego. Korciło mnie napisać *of course*.

Szpiegi hulają, kpią w żywe oczy. Proces jedenastu, oskarżonych właśnie o taką chęć wywołania przewrotu gwałtem, sprawia czasem wrażenie, że oskarżonym jest sędzia Medina, a nie tych jedenastu drabów.

— Czemu pan sędzia podrapał się w głowę, gdy zeznawał oskarżony Iks? (dosłownie).

— Czemu pan sędzia się uśmiechnął, gdy zeznawał oskarżony Ygrek?

Oskarżona o szpiegostwo dziewczica Kapłan, która się przezwała Coplou, wykradła dokumenty... żeby pisać sensacyjną powieść, widywała się ze szpiegiem Gubiczewem, bo się w nim zakochała. "Ale przecie pani spędzała noce z niejakim Szapiro?" — "Co znaczy — noce? Poszliśmy razem kupić sukienkę w New Yorku, nie znaleźliśmy odpowiedniej, pojechaliśmy do Filadelfii, również tam nie mogłam dobrać sukienki, musieliśmy zanoćować, pojechaliśmy po sukienkę do Bostonu, szukaliśmy sukienki do późna na próżno, znów musieliśmy zanoćować". — "Aleście zawsze brali wspólny numer". — "Co znaczy wspólny numer? Szapiro jest bardzo przyzwoity chłopiec, niczego nie żądał i nawet nie rozbieraliśmy się".

Jury kiwa głowami — ach ta niepewność, ta niepewność... Dziewica na drugi dzień po wyroku jedzie pod Statuę Wolności i rżnie pod nią do dziennikarzy przemówienie pouczające o demokracji.

Dwóch drabów, jeden dowiedziony notoryczny agent, drugi, co najmniej czynny *fell ow - t r a v e l l e r* zajmuje od pół roku opinię tym, który z nich łże. W Rosji, jeśliby nie byli potrzebni dla procesu pokazowego, dostaliby od samego początku po strzale w podstawę czaszki i niechby św. Piotrowi zawracali głowę swoim pieniactwem. Ale jury, po tygodniach badań, nie może zdecydować się. Ach ta niepewność, ta niepewność... Jury cofa się od wydania orzeczenia, a jedynym skutkiem mozolnego przewodu będzie dochodzenie... znowuż przeciwko sędziemu, miał bowiem okazywać lekkie oznaki nieufności w stosunku do jednego z łobuzów.

Może ktoś, komu wola, powiedzieć, że przekładam kulę w łeb bez sądu nad *c a s d e c o n s c i e n c e* sędziów. Podczas, kiedy tylko podkreślam, w epoce zbliżającej się rozgrywki, te dodatkowe obciążenia demokratycznego społeczeństwa, które i tak jest w sobie zamylone, nic nie rozumie co się dookoła dzieje, czuje, że w otaczającej ciemności czają się jakoweś siły gotowe go pozbawić lodówki, miota się, zapala wyłączniki, podejmuje naganki, którym pierś nastawiają szlachetne bęcwały — a szpicle się śmieją.

No to może Europa pomoże? Wstrzyknąć w nią dolary i usztynić przeciw tej groźnej nasuwającej się ciemności.

W tym miejscu Stany Zjednoczone przypominają mi mego kuzyna, starego Chomińskiego, który od czasu do czasu zjeź-



dział do Warszawy, stawał w hotelu Rzymskim i jadąc wolno autem z hotelu zawsze tą samą trasą, sypał na prawo i na lewo pieniędzmi.

Zapytany przez dziennikarzy, czy uważa ten swoisty plan Marshalla za najbardziej celowy, z całą powagą odpowiedział, że tak.

Ale pocziwemu wujowi Chomińskiemu rychlej wyschła kiesza, niż zaradził na biedę ludzką i to samo grozi idącemu w jego ślady wujowi Samowi. Pękać można ze śmiechu na wykrzyki prasowe i radiowe, kiedy nagle okazało się, że zamaniono oczy amerykańskie berlińskimi trudnościami, pchnięto Yankesów do nic nie dającego prestiżowego liftu powietrznego, nastraszone komunizmem w Europie, wepchnięto w plan Marshalla, a potem okazało się, że to jest drugoplanowy front i szydło wyszło z worka... w Chinach, na które już jednak amerykańskiemu Chomińskiemu zabrakło pieniędzy.

Gabriel Heater, niesłychanie popularny komentator radiowy, uosobienie "szarego człowieka", rozdziera szaty:

— Naprzód mówili, że trzeba Europę karmić, stworzyli Plan Marshalla — daliśmy dolary. I cóż się stało? Anglia daje swoim obywatelom bezpłatne zęby, bezpłatne okulary, a kobiety, które chciałyby szczuplej wyglądać mają prawo do bezpłatnych gorsetów. Potem zaczęły mówić, że trzeba tych gorsetów bronić, stworzyli Pakt Atlantycki — damy na zbrojenia dolary. Potem okaże się, że trzeba tych danych dolarów bronić — damy dolary... jeśli je jeszcze będziemy mieli. To na to krwawiła się ta nasza młodzież? *May I take a personal word?* Ta nasza młodzież nie ma pojęcia jak jej urok się podniesie, jeśli będzie używać *Shampoo Hieratonic*. O co za miękkość daje to włosom! *Thank you...* A pan Stalin tylko się śmieje...

Istotnie, pan Stalin się śmieje, bo już w 1928 r., w „Zasadach Leninizmu” pisał, że na Stany Zjednoczone należy uderzać w stanie kryzysu. (Uwaga: podziwu godne, czemu ludzie tak w głowę zachodzili naprzód co zamierza Hitler, obecnie co zamierza Stalin, kiedy obaj ci panowie z godną uznania otwartością sami o tym w swoich książkach napisali).

I jak rolnik, który czeka aż uschnie skoszona trawa, aby ją zwieźć jako siano i ogląda na barometr, tak Stalin (do niedawna "nice fellow, old Joe") ogląda na wskaźnik kluczowy, produkcji stali, który stoi na 61 proc. *capacity* i któremu na jesieni grozi wielki strajk.

Na Europę nie wybiera się bynajmniej.

Coś z tego poczyną do amerykańskich głów przenikać. "N. York Times" wieści zaważenie się Planu Marshalla, w Kongresie panuje silna tendencja, aby Pakt Atlantycki nie skutkował automatycznie obowiązkiem zbrojenia Europy.

Te różne zastrzeżenia poczynają nurtować nie tylko kongresmanów i publicystów, ale i szarego człowieka.

Przy kiosku na *high-way* gentelman w koszuli flanelowej w ogromne kolorowe kraty tchnął na mnie aromatem coca-cola:

— Panie — wybałuszył na mnie oczy — a może czerwoni tylko po to atakują Pakt Atlantycki, żebyśmy go tym zacieklej trzymali w paszczy, jak pies, któremu się wydziera na nic nikomu niepotrzebny patyk, kiedy tymczasem spółnik rabuje chiński śpichlerz?

— Racja. Macie wy taką pogaduszkę dla dzieci: "Latała osa koło psiego nosa — pies śpi".

— O, yes... — ucieszył się i zacytował coś w slangu.

— No, więc właśnie... Posłuchajcie jak to idzie:

Narobiliście po wojnie na nowo aut i lodówek, bezrobocia nie było — Stalin nic.

No to potem uzbroiliście się na nowo, bezrobocia nie było — Stalin nic.

No to potem zaczęliście fabrykować na plan Marshalla, bezrobocia nie ma — Stalin nic.

No to potem — co tu robić? — przezbrowiliście się, bezrobocia nie ma — Stalin nic. Ale jak długo i ile razy można się przezbrowiać?

No to potem wymyśliście Pakt Atlantycki, będziecie fabrykować broń dla Europy, bezrobocia nie ma, Stalin...

— Jakto bezrobocia nie ma? — obrażonym głosem spytała kratkowana koszula — trzy miliony osiemset tysięcy już jest i coraz więcej będzie. W mojej fabryce dywanów we Frehold zamknęli nocną szychcę, dobrze, że miałem zasiedziałe *seniority*, to mnie z posady tkacza, gdzie miałem 80 dolarów tygodniowo przeniesiono na zamiatacza o płacy 46 dolarów. A iluż innych, z młodszym *seniority*, wyrzucono na bruk?

— No, jak tak, to zbliża się koniec bajki: "Pies — cap..."

— To co mamy robić?

Wzruszyłem ramionami. Chciałem powiedzieć: "Mniej czytać *comics* (idiotyczne awanturnicze przygody — podpisy pod ilustracjami, na których czytaniu wielka ilość Amerykanów zaczyna i kończy dziennik). Ale by nie zrozumiał. Więc tylko wyraziłem przypuszczenie, że Stalin trzyma się zasady napoleońskiej: "W wojnie ten wódz zwycięża, który lepiej potrafi wyzyskać głupstwa przeciwnika".

Amerykanom poczyna się wydawać, że właśnie robią te głupstwa. Ich sekretarz skarbu, Snyder po konferencji ze Stafford Crippsem na temat *g a p* budżetowej, ziejącej w szalupie angielskiej — nie doszedł do żadnego wniosku. "Plan Marshalla" — smętnie stwierdza w artykule wstępnym "N. York Times" — "nie poskromił ekonomicznych nacjonalizmów, ale przyczynił się do ich wzrostu". W planie Marshalla pismo widzi "wielką pokusę do uciekania się do środków doraźnych, niewspółmiernych z ideologią na dłuższą metę". W "New York Daily News" J. O'Donnel stwierdza, że Plan Marshalla już zbankrutował.



Sprawa Chin, zwłaszcza, wywołuje konsternację. Miałem smutną uciechę, obserwując pierwsze nepowe głosy finansjery amerykańskiej po wkroczeniu czerwonych. Ach, jacyż grzech-



ni... Ach, jacyż rozsądni... Ach, jak chcą kooperować... Oni rozumieją, że stosunki ze Stanami są dla nich konieczne.

Przypomniał mi się obrazek, który widziałem w Polsce 1939 r. Nauczycielka pytała komendanta bolszewickiego, czy ma zdjąć portrety prezydenta i obu marszałków. "Ależ niech wiszą". — "A czy dzieci mają odmawiać modlitwę?" — "Naturalnie". Na takie wieści liczni burżuje, którzy już byli w Rumunii, wrócili z autami i betami.

Przeszło dwa miesiące — konsul amerykański dostał od policji po mordzie za nieprzestrzeganie prawideł jazdy z komentarzami w urzędowej prasie, że mordobicie zaaplikowano nie przypadkowo, tylko jako dokumentację, że się dominacja kapitalistów skończyła. Przemysłowcom każą płacić jakieś rozdęte remuneracje robotnicze wstecz, a na likwidację — już za późno.

Trzeba by, zaiste, nadmiernych ilości *w i s h f u l t h i n k i n g*, aby utrzymać amerykańską opinię w przekonaniu, że to jest lokalna sprawa chińska, że chiński bolszewizm jest całkiem inny itp. Mao-Tse-Tung, dyktator Chin, rozwiął te złudzenia w publicznych przemówieniach, stwierdzając, że będzie prowadził politykę Kremla.

Polityka jest jasna — frontem pierwszej wagi jest AZJA.

Pamiętam, jak w 1934 r. Radek demonstrował mi pracę Instytutu dla Ludów Wschodnich (dokładnej nazwy nie pamiętam), którego był kierownikiem. Uderzyła mnie egzotyka krajów z których uczniowie pochodzą i cyfry kończących gruntowne przeszkolenie. Kształcili się tam i Rosjanie i została mi w głowie cyfra osiemdziesięciu absolwentów-Rosjan z języka japońskiego. Teraz ta długa cierpliwa praca daje rezultaty.

W Indo-Chinach, kształcony w Moskwie Ho-Chi-Min ustanowił już reżim komunistyczny przy zupełnej bezradności Francuzów. Republika Koreańska, "ostoja demokracji w Azji", już otrzymała wyrok śmierci od marionetkowej czerwonej republiki północno-koreańskiej, wiele mniejszej, ale... rozporządzającej 200.000 wyćwiczonego przez Sowiety wojska. Wyrok śmierci żąda "wolnego ludowego plebiscytu" na sowiecki manier. "Ostoja demokracji" rozporządza 50.000 wojska i podnosi się alarm, że w ciągu trzech miesięcy upadnie, jeśli w niej jeszcze nie utopić 150 milionów dolarów (wówczas, kiedy błagając o pomoc panią Czang-Kai-Szek odprawiło się z kwitkiem) i jeśli się nie pośle wojsk amerykańskich (które w grudniu się wycofało). Dom wariatów!

*W i s h f u l - t h i n k i n g*, wskazuje na Japonię i amerykańskiego Wieniawę, Mac Arthura, jako remedium na bolszewizm w Azji.

Ale należy to uznać za złudzenia. Japonia jest krajem najostrej niesamowystarczalnym na świecie. Może istnieć, albo w oparciu naturalnym o ląd azjatycki, a to oznacza jej przejście na tamtą stronę barykady, albo o pomoc amerykańską, co jest zupełnie iluzoryczne skoro się opuściło Chińczyków, skoro się przykręca śrubę na planie Marshalla do tego stopnia, że jego

kierownik Hoffman grozi podaniem się do dymisji. I w Japonii śrubę się przykręca do tego stopnia, że Związek Kolejarzy uchwalił sprzeciwiać się redukcjom w drodze oporu fizycznego.

Wybory w Japonii dały trzy miliony głosów komunistycznych; silnie zdyscyplinowana i zamknięta partia komunistyczna w Japonii liczy 200.000 członków, a pierwsze dwa tysiące zwracanych przez Rosję jeńców powitało spotykającego ich gen. Mac Artura śpiewem internacjonau i okrzykami na cześć Stalina.

Zamordowanie przez komunistów min. Shimoyama, atak na stację policyjną w Taira, uchwała kolejarzy — to tylko ogniwa łańcucha zdarzeń, które pozwalają ambasadorowi Paniuszkowski występować na Komisji Dalekiego Wschodu w roli obrońcy demokracji w Japonii.

Zobaczmy, jak będzie dojrzewać to jabłuszko.

◆

Kiedy Stany Zjednoczone są tak zagrożone z zewnątrz, a wewnątrz przechodzą linienie w ideologii gospodarczej, w walce pomiędzy zasiedziałą *Free Initiative* (jakby w dobie późnokapitalistycznej istotnie było miejsce dla swobody ekonomicznej jednostki) i rozpanoszoną *Managerial Class*, a nieuchronnie nasuwającą się koniecznością gospodarki społecznej, kiedy widmo inflacji i bezrobocia nie schodzi w dzień i w nocy z oczu i kiedy rządy w Waszyngtonie zależne są od fluktów dosyć przypadkowych (część własnych demokratów zwalcza Trumana, kongres tygodniami może być unieruchomiony przez obstrukcję), a w sprawie najważniejszej, bo obronności kraju, armia, marynarka i lotnictwo dają gorszące widowisko kłótni, doprowadzające do samobójstwa jednego sekretarza obrony narodowej, do zrezygnowania jego następcy, kiedy wieści o złej (sprawozdanie Hoovera) i nieuczciwej gospodarce (zawieszenie generałów "pięcioprocentowców" w związku z dostawami) przenikają do ogółu — w potężnym, silnym i młodym społeczeństwie, schwyconym w kleszcze międzyepoki w stanie niewypierzenia i zagrożonym, poczynają grać spekulacje *w i s h f u l t h i n k i n g*, które normalnie są raczej właściwe narodom bezsilnym (marzenia Katerli-Żeromskiego o aparacie niszczącym Moskali), lub dekadentkim (rachuby Francuzów na linię Maginot).

Bomba atomowa!... Kupić, zapłacić, przepłacić, skonstruować, rzucić i mieć spokój... Bomba atomowa, jak linia Maginot miała szczerzyć przykrości wojowania.

Każdego laika musiało w latach ubiegłych zastanawiać pytanie: jak to się dzieje, że bolszewicy, którzy nie mają bomby atomowej, są arogancy, kpią w żywe oczy i odnoszą sukces za sukcesem, a reszta globu, mogąc ich jednej nocy zmiażdżyć, jest w ciągłym odwrocie.

Naturalnie, wiszfultynkiści mieli i tu gotową odpowiedź: demokracja jest zbyt uczciwa, aby użyć tego strasznego środka zanim zajdzie ostateczna potrzeba.

Żaden uczciwy człowiek nie użyje też bez potrzeby pistoletu.

Ale nie wyobrażam sobie, żeby ktoś nieuzbrojony mógł systematycznie i skutecznie sięgać raz po raz do kieszeni kogoś uzbrojonego w pistolet.

Użycie bomby atomowej byłoby stokroć bardziej usprawiedliwione jako prewencja rozpoczynającej się wojny (czym jest zajmowanie Chin), niż jako ułatwienie sobie dokonanego zadania przy kończącej się wojnie (w Hiroszymie).

Toteż poczęło się coraz niecierpliwsze dobieranie się do tajemnicy bomby atomowej, którą zna w Stanach Zjednoczonych 24 osoby oficjalnie i nieoficjalnie niewiadoma ilość szpiegów (patrz rewelacje senatora Hickenloopera, kradzież substancji atomowej w laboratoriach w Chicago itd.).

Nie mogąc zwalić tego muru tajemnicy, poczęto liczyć i obliczać. Potrzeba by 500 bomb atomowych, ażeby przeprowadzić zniszczenia równe tym, jakich dokonało bombardowanie Niemiec. A czy U. S. mają 500 bomb atomowych?

Specjaliści, którzy sypnęli właśnie książkami (R. E. Lapp, M. S. Blanckett) przymrużają porozumiewawczo oko: nie wierzcie takiej bujdzie, gdyby ją kto wmawiał. "Bomba atomowa nie jest automobilem Forda, produkowanym na taśmie" — pisze znany analityk wojskowy, Hansen B. Baldwin, który właśnie odbył podróż po ośrodkach atomowych lub choćby ich poczekalniach.

Ale gdyby nawet U. S. posiadały 500 bomb, to co?

Po pierwsze: bombardowanie Niemiec nie było czynnikiem tak decydującym jak się zdawało, stwierdzają w swoich książkach zarówno gen. Fuller jak i adm. Dickens. Wojenny przemysł niemiecki nie był zgnieciony w sposób wystarczający.

Po drugie: Rosja to nie Niemcy. Któż zliczy zakłady pracujące na rzecz wojny na jej niezmiernych przestrzeniach. "Jest wielkim złudzeniem przypuszczać" — stwierdza H. B. Baldwin po swoim objeździe — "że bomba atomowa zapewni nam bezpieczeństwo".

A po trzecie (i najważniejsze): "Walka, aby była celowa, wymaga by jej przyświecał zdrowy i celowy rezultat" — pisze gen. Fuller.

A jakież zdrowy i celowy rezultat uwieńczy, nawet skuteczne, zbombardowanie Rosji?

"Bomba atomowa nie jest bronią decydującą" — pisze atomowiec R. E. Lapp w swojej książce *Must we hide?* — "będzie tragedią Stanów Zjednoczonych, jeśli uświadomią to sobie zbyt późno".

Ciekawe, czy mimo tych głosów będzie trwał "maginotyzm" w opinii amerykańskiej.

Nie ma bowiem decydujących broni. W odległości wielu tysięcy lat może nam się wydawać, że epoka bronzowa pobiła kamienną, bo jej broniły niedołężne toporki, albo że żelazna zwyciężyła, przecinając bronzowe miecze jak świeczki. Ale już w bliższej odległości rozumiemy, że grecka falanga, kawaleria Hunnów, ciężkie łucznictwo pod Crecy, albo artyleria Ka-



rola VII miały tylko subsydiarne znaczenie. Chassepoty, górujące znakomicie nad niemieckimi iglicówkami, nie dały Francji zwycięstwa, bo mając za sobą nowocześniejszą broń, przeciw sobie miały wartości zrastającej się Rzeszy.

Na razie to nie Stany reprezentują nowe wartości, aczkolwiek potencjalnie przedstawiają rezerwat witalnych sił, w którym poczną się nowe idee. Należy przypuszczać, że w nowej epoce, kiedy ta zacznie się konsolidować, Stany Zjednoczone zajmą przodujące miejsce dzięki duchowym wartościom, które do tego czasu narosną. Ale dla zbliżającej się rozgrywki nie są Stany wyposażone duchowo. Dopiero przejścia mogą z nich wykuć wspaniałą, nowoczesną społeczność. Stany Zjednoczone czekają na swoją stuletnią wojnę, kiedy "przegrana była ukrytym błogosławieństwem — Anglia dopiero stała się zdolna znaleźć swoją właściwą linię rozwoju" (Fisher).

Dlatego, będąc Amerykaninem, uważałbym za niecelowe pisać taką broszurę jak ta, która nie bez słuszności mogłaby być, w warunkach amerykańskich, uważana za defetystyczną. Bo Ameryka nie ma innej drogi do przyszłości, jak przez walkę — choćby przegraną.

Bo narody są jak żołnierze na froncie. Dobry żołnierz, jeśli walka przenosi się na jego odcinek — przyjmuje ją jak myśmy przyjęli w 1939 r. Ale nie lata po cudzych odcinkach. Przecież nie lecimy teraz pomagać antybolszewickim Chińczykom.

Jeśli walka przyjdzie na odcinku amerykańskim — poczekamy. Walcząc, płacilibyśmy nie tylko krwią, ale i zrozumieniem swego miejsca na świecie. Dla przyszłości naszego narodu to zrozumienie jest ważniejsze, niż dziesięć bitew wygranych przez Amerykanów "w naszej obronie".

Bez pomocy polskiej się obejdzie, aczkolwiek będziemy wyzwani. W dniu 1 sierpnia 1949 r., w samo pięciolecie powstania warszawskiego, najpoważniejsza stacja radiowa *National Broadcasting Corporation* zainicjowała godzinną audycję — dyskusję: czy nie należałoby, zamiast planu Marshalla i Karty Atlantyckiej, pchnąć wszystkie fundusze za żelazną kurtynę i stworzyć milion do półtora miliona ludzi liczącą armię szpiegów, sabotażystów i agitatorów. Kiedy oponenti pytali wnioskodawcę, p. Laffon-Morse, jak uda mu się przeszwarcować na tamtą stronę półtora miliona ludzi w warunkach pokojowych, odpowiedział, że pośle się tylko instruktorów, a kadry dadzą narody za żelazną kurtyną. Pan Morse, jak widzimy chce się wymigać skupowaniem słoni dla Hannibala.

Ale my — poczekamy. Doczekamy się, aż p. Morse i współprojektodawcy będą zmuszeni poniechać genialnych planów i po prostu i ordynarnie, włożyć spinacze i pomaszerować na linie bojowe. Będziemy ich wówczas szczerze podziwiał. Ich i Amerykę, która się stanie "natchnieniem świata".

Właśnie, skutek tej swojej wiary w Stany Zjednoczone, nie jako pogromcy Rosji, ale czynnika, który po swojej porażce będzie miejscem, gdzie najżywotniej poczną porastać siły nowej



epoki — chciałbym, aby Polacy wówczas znaleźli się możliwie blisko tego kraju największych możliwości.

We wspomnianym już swoim memoriale z 1 sierpnia 1944 pisałem:

„Tamtą wojnę Polacy zaczęli w oparciu o Austrię, skończyli w nieporozumieniach z Francją, tę wojnę zaczęli w oparciu o Francję, skończą w nieporozumieniach z Anglią, przyszłą wojnę rozpoczną w oparciu o Anglię, skończą w nieporozumieniach ze Stanami Zjednoczonymi”.

Lepiej więc tego od początku uniknąć.

## DWADZIEŚCIA PIĘĆ LAT ANARCHII?

Wbrew “czerwonej hysterii” amerykańskiej Rosja nie kwapi się do formalnej wojny, zadawalając się wojną istotną, nie wiadomo czemu przez wiszfulinkowców nazywaną *c o l d w a r* skoro armaty grają na jej szerokim froncie.

Skoro więc U. S. nastawione są defensywnie (co w wojnach ideologicznych równa się przegranej), a Rosja do formalnej wojny się nie kwapi, to sądzić należy, że używa chwytu raz już zainicjowanego przez Joffego na konferencji w Brześciu, kiedy na ścianie wobec zdumionych wymonoklowanych sztabowców niemieckich wypisał: *ni mira, ni wojny*, (ani wojny, ani pokoju).

Ta azjatycka “wydzierżka” przypomina mi obrazek widziany przed tamtą wojną w Moskwie: słabnący pijak trzyma się kurczowo latarni, ale zjeżdża wciąż w dół. Policjant, który ma prawo tylko wówczas zabrać pijanego, jeśli ten leży na ziemi, czeka spokojnie. *A t y m i e n i a w s i o t a k i n i e w o ż m i o s z* (a ty mnie jednak nie weźmiesz”) — mrucał obywatel, kurczowo trzymający się słupa i osuwający się cal po calu. Policjant spokojnie czeka: będzie go miał bez zachodu.

Ale w jakiej mierze “bez zachodu”? I co w ogóle znaczy, że “będzie go miał”? I po co czekać dwadzieścia pięć lat, jak głosi punkt czwarty bukareszteńskiego “horoskopu”?

Istnieją po temu powody natury materialnej i duchowej. Powody, dla których nie można też stawiać na zwycięstwo Rosji.

Kraje satelickie, z wyjątkiem Czech — mało uprzemysłowione, pragnęłyby przerobić drogę, której taki kawał uszła Rosja. Jeśli Polska jest w 40 proc. państwem przemysłowym, a w 60 proc. państwem rolniczym, a Minc chce odwrócić stosunek procentowy, to musi znaleźć gdzieś kredyty inwestycyjne i tu może liczyć tylko na pomoc Wielkiej Protektorki. Toż samo inne państwa satelickie.

Wielka Protektorka nie może przechodzić nad tymi potrzebami całkowicie do porządku dziennego, bo dzieje jeszcze nie znają autokraty, który by na czas dłuższy postawił logikę gospodarczą na głowie — bezkarnie.

I widzimy, że Rosja cyka pożyczki i zasiłki wszystkim podo-

piecznym. Wszystko co się w Rosji dzieje jest skryte i to pozwala na daleko idące dedukcje o rabowaniu Polski. Nie wiem, czy te łatwe spekulacje myślowe nie są zbyt dowolne. Nieprzebudowanie ustroju gospodarczego satelitów równa się ich nieskomunizowaniu. "To się wywiezie ludność" — mówią nasi hurrapublicyści; mając w duszach nieskończony kompleks niższości wobec Rosji, z całą łatwością wytrząchują z rękawa te setki tysięcy wagonów, które wywiozą na Kołymę dziesięć narodów Międzymorza.

Czy z również lekkim sercem do tej ewakuacji dołączą czterysta milionów zacofanych rolników chińskich?

Ledwo ukonstytuowała się nowa bolszewicka rzeczywistość w Chinach, już okazało się, że *drugije cyplata toże kuszal' cho-czut* ("że te nowowylęgnięte kurczęta też już chcą dziubać"). Jen-Pi-Shi w swojej mowie w Peiping zapowiada w ciągu 4 — 5 lat odbudowę zniszczeń (forsa!...), a w ciągu 10 — 15 następnych lat (już tu więc tyle mamy czekać...) uprzemysłowienie Chin czterokrotne (jeszcze więcej forsyl!). Inaczej rolnik chiński zostanie rolnikiem chińskim — maszeruj tu z takim na podbój świata.

Do 1939 r. Rosja przeobrażała się nadludzką prywacją, mając do czynienia z półtora miliona ludności. Teraz ma siedemset milionów podopiecznych, a jeśli tyrady Paniuszkina poskutkują — dalszych sto milionów, a jeśli Korea, a jeśli Indo-Chiny...

— *D a n i e w s i e r a z o m!*... — może krzyknąć Stalin do gorliwych wyznawców, jak chłop, który gramoląc się na konia, prosił o pomoc wszystkich świętych, aż hycnął zbyt silnie i przewalił się na drugą stronę.

Już pod względem materialnym porównanie ze spokojnie oczekującym stójkowym nie jest ściśle. Owszem, późno-kapitalizm słabnie i osuwa się w dół, ale czyhający na jego upadek policjant przejadł się i ma bóle żołądkowe.

Strona moralna sprawy jest jeszcze bardziej godna zastanowienia.

W czasie rewolucji październikowej obchodziłem z ramienia komitetu polskiego miasto z patrolem bolszewickim (szło o każdorazowe udaremnienie zamachów na polskie placówki jako "neutralne"). Byłem do głębi zaskoczony ideowym ładunkiem w duszach tych marynarzy. Z takim patrolem po ulicach Piotrogradu chodził Chrystus Błoka. Potem tym ładunkiem szafowano na tysiące zbrodni po Katyń włącznie. Ostre środki, niszcząc objawy, na które są skierowane, produkują wydzieliny, których nadmiar może zabić organizm, któremu miały służyć.

Posel sowiecki w Meksyku, zbliżając się do przegranej, zmiotł pionki ruchem pół gniewnym, pół żartobliwym:

— U mnie wybuchła rewolucja, nie uznaje odstąpienia terytoriów, unieważnia logikę gry...

— A cóż pionki winne — stęknąłem, łażąc pod fotelami.

— Rewolucja nie może być cukierkowa — grzmiał spod drugiego fotela.

Ale rewolucja i bezprawie nie może trwać wiecznie. Dlatego nie przypuszczam, by Chrystus Błoka promieniował wśród sowieckiej biurokracji. Czapski pisze, że poeta był coraz smutniejszy, zamilkł i odmawiał deklamowania swojego utworu.

A może i Błok był cukierkowy? Ale i zaharowany całościowy rewolucjonista, animator frontów wojny domowej, Trocki, na dwa lata przed swym zamordowaniem pisał: "Nie jest do pomyślenia socjalizm, który nie idzie w parze z rozkwitem ludzkiej indywidualności".



A teraz — o ciąży materii.

Czyż może być człowiek o tak potężnych barach, który by wstrzymał w biegu Niagarę? Czyż może być dyktator o takim geniuszu, o takiej niezależności od sił działających, który by wstrzymał w biegu tradycję kilkusetletniego imperializmu rosyjskiego, przekuł charakter narodowy, przekuł dążenia i umiłowania narodowe na ogólnoludzkie, wyeliminował wszystkie bliższe cele, kazał milionom popełniać bydlęce czyny i nie zabił w tych milionach duszy?

Nie sądzę, aby w razie udania się planów Hitlera, grający Beethovena Gestapowcy zdolni byli odgrzebać w swych duszach resursy, pozwalające zbudować uczciwy *N e u e O r d n u n g*.

Nie sądzę aby mógł to zrobić zwycięski bolszewizm.

Rządcom na Kremlu może się wydawać, że mogą schować z powrotem wydobyte na czas wojny rekwizyty: popów, Suworowa, apologię carów, budujących Rosję — Piotra I, Iwana Groźnego. Jak w czasie wojny człowiek rosyjski walczył nie z faszyzmem, tylko z najeźdźcą, tak samo *à l a l o n g u e* nie będzie ponosił dobrowolnych ofiar dla organizowania czterystu milionów Chińczyków w imię rewolucyjnej piosenki o wyzwaniu biedaków w grenadzkim powiecie. Do grenadzkiego powiatu ruszy albo jako ideowy Rosjanin po ekspansję dla swojej ojczyzny, albo jako udziałowiec szajki rabusiów. Tak czy inaczej jednakowo nie wyjdzie to na zdrowie zegarkom grenadzkim, ani mieszkańcom grenadzkim. I tu jest gwarancja — że można rozbić świat, kończąc dzieło Hitlera, a nie być w stanie go zorganizować.

Zanik bujnej porewolucyjnej literatury rosyjskiej zdaje się świadczyć, że tam pod kotłem przestaje się buzować. Porównajmy dwie powieści Faddiejewa, najbardziej prononsowanego pisarza obecnej Rosji, prezesa Związku Literatów, delegata na wszystkie kongresy intelektualistów. Jego "Razgrom" z czasów walk domowych w Rosji, opisujący dzieje rozgromionego bolszewickiego oddziału, jest gorzki, ludzki, pałający gniewem, gorejący ogniem tęsknoty. Jego "Mołodaja Gwardia" — dzieje młodzieży komsomolskiej w czasie minionej wojny — jest to pie-



kielnie nudna szmira, w której się poruszają szablonowy nieskazitelnie ideowych, nieskazitelnie bezbarwnych i nieskazitelnie nudnych komsomolców.

Ten pisarz w ciągu trzydziestu lat nie przygłopotował do żadnej Grenady, tylko do nudnego Urzędu Propagandy Trustu Bolszewickiego.

◆  
Nie ma rady: zawiodą się ludzie wyczekujący po obu stronach barykady, że im ludzie z tamtej strony przyniosą zdrowy układ życia. Ale nic ich przed tym zawodem nie powstrzyma. Bo jak powiedział lord Halifax (ale ten z XVII w.): "Ludzie zwykle dają się ponieść marzeniom. Ani im w głowie powstrzymać ich bieg, tak się lubują w tym pędzie".

Nie zawiodą się tylko ci, którzy mają mniej "wyszultinkowate" marzenia, którzy wybierając się osiaść w nowej epoce, liczą, jak osadnik osiadający w dżungli, że pożar międzyepoki najwyżej oczyści teren, ale zbierają wszystkie siły na budowę od nowa.

Czy zaliczyć tych ludzi do optymistów, czy do pesymistów?

Wingfield-Strafford w swoim studium o cywilizacji zirytował się na ten podział: "Ze wszystkich nalepek najidiotyczniejsze, a przecież stale używane są nalepki "optymizm" i "pesymizm".

Jeśli to co się nazywa optyризmem dyktowało legendy dawniej o papierowych czołgach, a teraz o wojnie atomowej, jeśli optyризmem nazywa się bezmyślność z jaką witało się nadciągającą burzę dziejową, a teraz oczekuje się wjazdu na białym koniu, to, istotnie, musielibyśmy za Havelock Ellisem powtórzyć, że "miejszem, w którym najwspanialej rozkwita optyризizm, jest dom wariatów".

Jeśli jednak optyризmem nazwiemy wiarę w człowieka w wieczny postęp ludzkości, to, mimo gromów na XIX stulecie, które gęsto rozsiałem w tym liście, trudno mi nie powtórzyć Goethego: *Edel ist Mensch, hilfreich und gut*.

Tylko, że trudności, z którymi w gruncie rzeczy szlachetna istota ludzka spotyka się na świecie są tak ciężkie, kataklizmy, które łamią złe zrosty ludzkości tak potężne, że "pozycje zdobyte przez jedno pokolenie mogą być tracone przez następne. Myśli ludzkości mogą pójść drogami, które prowadzą do zniszczenia i barbarii".

Jeżeli te gorzkie słowa wypowiada H. Fisher w króciutkiej przedmowie do swego obszernego dzieła historycznego, to znaczy, że myśl o tym specjalnie go uwiera. Bo Fisher już nie jest dziewiętnastowiecznym pisarzem, ale dzieciństwo jego czerpie soki z XIX w. Ten wiek patrzył na zbyt wiele nieprawości, by pozostać przy bukolicznej wierze Goethego w człowieka. Ale zawsze każdą nieprawość jakoś prąd dziejowy wynosił na miejsce światła i jasne: zbroczone krwią niewinnych spisy jakobińskie przemieniał w bagnety niosące ludom wolność; wyzysk — w rewolucję przemysłową; bezrobocie maszynowe — w rozkwit handlowy; ucisk kolonialny — w budowanie nowych kontynen-



tów cywilizacji. I dlatego wiek XIX począł wyobrażać sobie postęp ludzkości jako zygzakowatą linię — od właściwego celu do niewłaściwego i z powrotem — ale ciągle wyżej: tak, jakby kto wchodził po wieży krętymi schodami, aby zobaczyć co jest za rzeką. Im kto był wyżej, tym więcej widział, ale raz po raz wynosiły go kręte schody ku okienkom umieszczonym z przeciwnej strony. Cóż z tego, że obejmował teraz szerszy widnokrąg, kiedy patrzył w niewłaściwą stronę. Wiek XIX uspokajał: "Grunt w tym, że poziom wyższy. Idźcie dalej — dojdziecie".

Ale kiedy doszło się... do komór gazowych, stropiona ludzkość stanęła: gdzież ten poziom wyższy?

I historycy poczęli, jak Fisher, pisać gorzkie słowa.

My, "młodzi", jednak (niech mi pan pozwoli szwarcować się w waszym Klubie Trzeciego Miejsca) czujemy, że jednak ten zygzak postępu jest, tylko że nie idzie łamaną linią w górę, a jest jak spirala położona na ziemi, biegnąca po niej coraz wyższymi splotami. Każdy następny splot jest wyższy od poprzedniego, może gdzieś splot najwyższy, wyobrażalny tylko, urwie się i zakończy w wymarzonej krainie za obłokami. Ale tymczasem sunąca spirala ludzkość zsuwa się od czasu do czasu w dół, rżnie pyskiem w błoto, w to samo błoto, na tym samym poziomie, na którym leży spirala pierwsza.

To rżnięcie łbem w błoto zachodzi, kiedy się wali dawna epoka. Epoka, która trzasła kończy swój wzrost z ziarna, pączkowanie i kwitnienie bukietem przekwitłych nacjonalizmów. Do swobody jednostki idą dzieje przez ostateczne jej pogniębienie w młynach totalitarnych. Widać nie tylko trzeba zburzyć wynaturzony ustroj ekonomiczny, nie tylko do gruntu wypłenić autarkie, ale i w duszach ludzkich wypalić załączki, z których wyrastały. Zdaje się jednak, że nie ma tak ostrego środka, który by wypalił w duszach ludzkich poczucie, że gruszka na miedzy dzieli go od sąsiada. Po prostu — sam człowiek musi z tym wypaleniem zginąć na rzecz swoich dzieci, które wychowały się z dala od tej gruszy na miedzy, w pojęciach eszelonów, biletinów, przerzucania ludności, planowania, racjonowania, przymusu społecznego i względności świętego prawa posiadania. "Tatusiu" — pytała córeczka mego znajomego — "skoro nie służyłeś w Polsce w wojsku, to skąd miałeś Naafi?".

I tę dopiero córeczkę — pocznie ponownie wznosić spirala. Przejście z powrotem do trosk o jednostkę będzie cechą organizmów multinarodowych. I cechą świata maksymalnie planowanego, który służy jednostce maksymalnie wolnej.

Trzeba przyznać, że po drodze tymi z nas, którzy dotychczas nie zczeźli, rzuca porządny wir i nie ma się co łudzić, panowie koło pięćdziesiątki, żebyśmy z niego zdążyli wyleźć na stały ląd.

Jest taka nowela Poe'go "Whirlpool". Morze otwiera się do dna, a po peryferiach wirującego kotła mknie łódeczka z dwoma ludźmi — na samo dno, do ilkiego gruntu wielotysiącmetrowej przepaści.

Cóż tu planować w takim położeniu? Trzeba trzymać się burty

łódeczki i tyle. Dlatego segreguję i czyszczę jajka w pokorze ducha, ciesząc się, że żyję i że mam jeszcze pewne zainteresowania np. smakowitymi ogłoszeniami naszej gazety lokalnej: "Jaką radość zrobisz mamusi lub bliskim, ofiarując im na *birthday* gustowną działkę zakupioną na naszym cmentarzu. 80 proc. zapłacisz po pogrzebie dopiero. Pomyśl, czy jesteś w stanie nabyć gdziekolwiek podarunek na tak dogodnych warunkach".

*Tout est pour le mieux dans le meilleur des mondes... possibles*, pocieszam się za starym kpiarzem Voltaiorem.

— Cóżeś myślał, spadając? — pytałem chłopaka, który spadł z piątego piętra na asfalt, potrzaskał nogi, ale je mu poskładano z kawałków, chodził bez kul i był demonstrowany przez szpital:

— Myślałem jak wylądować.

Ale ja nawet nie myślę jak wylądować.



Kokietując czytelnika "Cierpieniami młodego Werthera" (może już po spirali wchodzimy w neosentymentalizm?) o mało, a zapomniałbym go poinformować o małym drobiazgu (punkt czwarty "horoskopu") — dlaczego ma czekać na zakończenie się bałaganu przez dwadzieścia pięć lat?

Przede wszystkim dlatego, że tyle czasu potrzeba, aby wymarło pokolenie Rzędziana z ideałami gruszki na między granicznej, które dotychczas rządzi światem.

Po drugie, że przy obecnym rozwoju technicznym i epoki prędkiej lecą i spięcia między epokami są krótsze.

Epoka kamienia łupanego trwała nieokreśloną ilość tysiącleci, gładzonego — trzy tysiące lat, bronzu — 800 lat, żelaza — trzysta lat, a epoka pary 100 lat. Dlatego sądzę, że w dwadzieścia pięć lat damy sobie radę, ale jakby kto się sprzeczał, to mu mogę parę lat w tę lub w tamtą stronę ustąpić.

Czy ten nowy świat będzie się zrastał dedukcyjnie, czy indukcyjnie, czy drogą pośrednią — przez różne międzynarodowe zarządy, poczynając od mniej spornych, jak lotniczy, kolejowy, pocztowy — mało mnie to wzrusza, mnie tam już nie będzie. Natomiast co można jeszcze dla Polaków w tym śmiertelnym w h i r l p o o l zrobić, to zrobić należy — przez Klub Trzeciego Miejsca, czy, po prostu, przez ludzi uczciwych.

## Cz. 2. — «Emigracja»

### DYSPROPORCJE

#### *Historyzm i możliwości*

Zatoczywszy koło, wracamy więc do odwiecznego "Słoń a sprawa polska".

Ta sprawa teraz sama przez się nie gra, jest funkcją spraw światowych do tego stopnia, że ważniejsze jest dla Polaka zastanawiać się nad sposobem myślenia np. Mao-Tse-Tunga, niż Bieruta. Dlatego wracając do spraw polskich, wracam nie do ich ogólnego politycznego aspektu, doraźnie bez reszty pokrywającego się ze światowym, a do naszego sposobu życia na emigracji.

Jeśli dojdziemy do przekonania, że w konflikcie, który nadchodzi nie będzie ani nic do obrony, ani nic do zdobycia, to zachodzi pytanie — w jakiejże postawie moralnej spotkamy ten konflikt.

Jest to pytanie specjalnie trudne dla nas, Polaków, przede wszystkim dlatego, że straciwszy wszystko, jako jedyny aktyw z pogromu wynieśliśmy wspomnienie o naszej postawie moralnej i nader niechętnie patrzymy na każdego, kto, w naszym zrozumieniu, chce nam ten ostatni i jedyny aktyw zdeprecjonować. Poza tym — skopano nas, upokorzono i pragniemy rewanżu. Wreszcie — tkwimy po tej stronie barykady i chcemy robić dobre wrażenie, nie psuć sobie stosunków, zapominając, że dobre stosunki jednostki nie zawsze pokrywają się bez reszty z dobrem publicznym. Przed wojną dobrze odprasowani czarusi na placówkach w Niemczech uważali, że im "Smętkiem" psują dobre stosunki.

Poza tymi jednak koniunkturalnymi prawdami jest powód zasadniczy, dla którego Polaka trudno jest skłonić w procesie dziejowym do postawy, która będzie mu się wydawała bierną. Należymy bowiem, dzięki swemu położeniu geopolitycznemu i wynikłym z niego dziejom do grupy narodów historycznych i jako

tacy trzymamy zaraz miejsce po W. Brytanii, Rosji, Francji i Niemczech, a przed wszystkimi Belgią, Holandiami, przed narodami obu Ameryk, przed narodami Międzymorza i nawet przed Włochami, mimo że tyle im zawdzięczamy. Słuchając przez radio Mussoliniego po bitwie pod Monte Cassino wrzeszczącego, że ponownie po *Via Appia* ciągną na Rzym barbarzyńcy, pomyślałem, że ma nieco za szeroki pysk, bo co tam robili Rzymianie i papież, pisze się tylko w ułamku na włoski rejestr, a ja ani swoich Piastów nie wymieniłbym na jego Gibellińskie uganiania się, ani swoich Jagiellonów na jego książątka. I że w Polsce nie znalazłbym takiego adwokata, jak ten napotkany w Campobasso, który zastanawiał się, że jego rolnicza prowincja Molise mogłaby się wyodrębnić i stanowić niezależną jednostkę polityczną pod nadzorem wielkich mocarstw.

Słowa Piłsudskiego o Polsce, skazanej na wielkość, są ciężką prawdą i dlatego pseudo-trzeźwi Polacy, wyciągający z minionej klęski podludką naukę, że gwarancją istnienia Polaków jest zatarcie się, zmimikrowanie, doczepienie się do kogoś, do czegoś — są zakłamani. Niech powiedzą, że polskości nie ma się co trzymać, niech się skundlą i idą w diabły. Iluż takich mamy, którzy dzieciom nie dają rozmawiać po polsku. Ale niech nie fałszują prawdy, pouczając, że samobójstwo jest zabiegiem leczniczym, a kula strzelona w serce podziąła jak glukoza przepisana na jego wzmocnienie.

Niech mi to wolno będzie powiedzieć na wstępie tych polskich rozważań, wbrew niechęci papug nie rozróżniających megalomanii od poczucia swojej wartości.

Jeśliśmy sobie tych słów Piłsudskiego nie postawili wyraźnie, nie byłoby tematu do dalszych rozważań. Zaadoptowalibyśmy piękny slogan o obronie kultury przed bolszewikami, slogan zapewniający spokojne życie, a w przyszłości jakieś doskonałe "Naafi". Zachowalibyśmy twarz ideową, paszport pewny i dostęp do cycka tej kultury — krowienty późnokapitalistycznej.

Ale Polak jest z innej mąki. Nie mówię tego z przechwałką, mówię to — aż żałośnie. Wciąż wzrastała dysproporcja między naszą tradycją historyczną, a naszymi losami, zamożnością, ciężarem gatunkowym wśród narodów; wciąż wzrastała rozpiętość pomiędzy pojęciem jakie Polak ma o sobie, a tym, co ten Polak realnie znaczy. Ta rozpiętość właśnie tak bardzo denerwuje świat od Dostojewskiego po Churchilla.

Hiszpanie schodzący z areny świata, zamknęli swoją wielką spuściznę w zabawnych fochach grandów bezsilnych, ale bezpiecznych za swymi Pirenejami. My, ledwo przecknąwszy się na "ziemi równej, nikomu nie bronnej", musieliśmy iść aż pod Kijów, mieliśmy ciężkie poczucie skazania na wielkość na Międzymorzu, poczucie, któremu nie odpowiadały ani realne siły, ani realne wartości.

To polskie "ani guzika", które dało tyle wynaturzeń, fanfaronady, niezmiernego frazesowiczostwa, naiwność polityczną, aro-



gancję i hochsztaplerkę międzynarodową, równocześnie tkwiło głęboko i karnie w najprzeciętniejszym Polaku i wybuchowało w tylu dramatycznych momentach minionej wojny. Nie jestem bynajmniej zwolennikiem tezy, że żołnierz polski jest najlepszy na świecie. Nie może dać istotnie dobrego żołnierza naród, w którym nie kształcono charakteru. Ale każdy z narodów historycznych, a więc i my, ma dobrego żołnierza (każdy z innych powodów). Najdobitniej nam to zademonstrowali Żydzi. Nie jest tych narodów historycznych dużo. I patrząc na naszych żołnierzy w bitwie, zrozumiałem tę więź, która łączy Polaków. Zrozumieli ją ci, co przeszli powstanie.

— Na wojnie operuje się nie tym, czym by się chciało operować, tylko tym, co się ma w rękę zarówno z broni jak z morale — odpowiedział mi jeden z bardzo wysokich dowódców A.K. na moje zarzuty co do wywołania powstania — otrzymaliśmy naród kształcony przez sto pięćdziesiąt lat niepodległościowo, powstańczo i romantycznie. Doraźnie taki naród nie mógł być przeedukowany i nie można go było prowadzić wbrew jego duszy, bo nic by z tego nie wyszło.

Jakże więc teraz można temu narodowi wskazać spokojne "trzecie miejsce" i kazać mu przeczekać w Klubie Obserwatorów.

W początkach 1946, w wagonie restauracyjnym Nizza - Paryż spotkałem przemysłowca belgijskiego, wracającego wraz z rodziną z Jasnego Wybrzeża. Udzielił mi cukru, którego w wagonie jeszcze nie dawali — on już, wraz ze swoim pierścieniem, cygarem i wymuskanymi kobietami był całkiem "po wojnie".

Jechałem z "de profundis" polskich dołów wojskowych, którym nie pozwalano wracać do Polski i z różowej mgiełki polskiej wojskowej góry, która obiecywała wojnę na najbliższego września. A tu dyrektor kasyna w Monte Carlo, oprowadzając mnie po salach gry, zacierał ręce, że sezon się ożywia i na przyszły rok Monte Carlo wróci całkowicie do przedwojennej formy, całe wybrzeże pucowało się i inwestowało, plakaty bolszewickie nawet wzywały rentierów i ciułaczy, aby głosowali na partię komunistyczną, bo ta jedynie będzie bronić ich interesów. Polak wyrzucony w to inne ciśnienie, łapał z trudem powietrze i wypytywał każdego, jak teraz ja tego przemysłowca:

— Jakie są u was nastroje?

— O, wszystko idzie dobrze; właśnie dowiaduję się, że już piwo pozwolono wzmocnić o dwa stopnie.

A przecież Eurazja podtoczyła się niemal pod próg jego kraju.

— Nie obawiacie się wojny?

Wytrzeszczył na mnie oczy:

— A cóż my mamy do tego jako mały naród? O to niech głowa boli wielkie państwa.

Któryż by Polak tak odpowiedział?

Pomyślałem wówczas o posiedzeniach "Międzymorza", na których bywałem przed tym wyjazdem do Francji. Gdzie ludzie

krajów stokroć bezsilniejszych, niż Belgia, wtrąceni do ciemnicy, niewidzącymi rękami wykonywali jakieś koordynacyjne ruchy. Gdy jednak padało słowo "Wilno" lub "Lwów", obolali i skłonni do zgody nędzarze stawali się wojowniczy. Przypomniałem z Flawiusza, jak zakładnicy żydowscy, wtrąceni do lochu po upadku Jerozolimy z płonącymi oczami kontynuowali spory talmudyczne, poczęte w kraju.

Powołując przykład żydowski tym ostrzej widzimy w duszach naszych rozpięcie między wielkością, a śmiesznością, które nam daje tyle poniżeń u obcych i tyle ofiar z nas samych.

Żydzi, którzy przez dwa tysiące lat, zdawałoby się, stanowili jedynie zbiorowość wyznaniową, których świat nie uznawał za naród, tylko za kastę, są, na skutek wszczepionej wiary w *Ata Bachartanu* (wybraństwo i posłannictwo) wspólniej, zarówno wierzącym jak niewierzącym — narodem historycznym. Królewskie sny osadzone na nędzarskiej rzeczywistości sprawiły, że gdy goje z pogardą traktowali Żyda, ten Żyd miał nieskończone poczucie wyższości wobec goja.

Coś podobnego było, kiedy oficerowie amerykańscy mówili "warto posłać jakiego Polaka po dziewczynkę" i kiedy ten Polak, jeszcze przed rokiem gotów na każdą ofiarę, "organizując" zamówienie, spoglądał z uczuciem wyższości na bogatych barbarzyńców.

Jak Żyd jest przykładem narodu historycznego, doprowadzonego do stadium patologicznego, tak przykładem doprowadzonego do stanu patologicznego pryncypu wybraństwa był obchód *P e s s a c h*, który widziałem u sekty Samarytanów. Jest to jedyna sekta, która zachowała żywą ofiarę. Było ich wówczas 320 na całym świecie i wierzyli, że oni są narodem wybranym, któremu Mesjasz da panowanie nad światem.

Kiedy noże zabłyśły nad siedmiu wybranymi jagniętami i kiedy pożywaliśmy ich mięso ofiarne z gorzkim zieleń pod rozgwieżdzonym niebem (lud ten na dziesięć dni Pessach emigruje pod namioty na górę *G e r i z i m* — Przekleństwa, z której ongi miotają plemiona przekleństwa na rozkaz Jozuego) — jakże daleko byliśmy od trzeźwej radości z powodu dwu stopni więcej w piwie, którą Bóg pozwolił się zadawałać narodom niehistorycznym i niecierpiącym.

Czy jednak takie niehistoryczne narody odbudowałyby Jerozalem?

Czy zdolne by były trwać na "ziemi nikomu niebronnej", gdzie "jeno gardła a piersi nasze municją naszą"?

Należy więc liczyć się z "historycznym" Polakiem takim, jakim jest: czy tam w A. K., czy tu — na emigracji.

Myślę o tylu chłopcach prawych jak złoto: z powstania, z A. K., z Brygady Świętokrzyskiej, z Hubalczyków, z września, z przekraczanych granic, z bitew i patroli. Jestem blisko z wieloma z nich. I kiedy przyjdzie do nich agent i da środki pomsty w rękę i przyjdą do mnie, cóż im powiem? Czy może to, co mnie

powiedział wielki Polak, Dmowski, kiedy go podczas tamtej wojny pytałem, cóż więc ma robić młody człowiek, skoro mu się zabrania iść do legionów. Dmowski odpowiedział: "Czekać. A jeśli kogo dręczy bezczynność w tej wojnie — iść na pomocnika do szpitala".

Wyobrażam sobie np. wachmistrza Romana z "Hubalczyków" chłopca z pięścią mogącą zabić byka, pochodzącego ze szlachty, osadzonej przez W. Ks. Witolda na brodzie tatarskim na Berezyńce w późniejszym powiecie wołyńskim, wyhodowanego na "Trylogii", towarzysza Hubala do jego śmierci, wywiadowcę A. K. na przednich liniach niemieckich w głębi Rosji, więźnia Oświęcimia, któremu wymordowano rodzinę i najbliższych kolegów — jeśli mu w trzeciej wojnie dam taką samą radę, jaką mi Dmowski dawał w pierwszej.

Albo Jurka z A. K., który uczestniczył w zamachu na Kutschere, na sztab Gestapo na Szucha, który zastrzelił na placu Trzech Krzyży pułkownika Gestapo. Teraz nudzi się, wkuwając coś na jakichś jałowych studiach. Kiedy przychodzi do mnie i strzelamy w ogródku z wiatrówkowego pistoletu, kiedy Jurek, mierząc, przymyka oko, jego jasna młodzieńcza twarz ścina się w drapieżny wyraz.

Albo tego młodego podpułkownika, z którym spaliśmy w czasie bitwy w jednym schronie, gdy nagle zjawił się, z uważanych za stracone pozycji, zapędziwszy się ze swymi ludźmi w gęszcz niemieckich bunkrów. Doszedł do stopnia oficerskiego z zawódki podoficerskiej w Bydgoszczy, trwał w szarym zacukanim życiu przed wojną, w czasie wojny okrył się nimbem legendy, awansował, dostał dwa Virtuti, żył pełną piersią w blasku uwielbienia, a teraz zarabia sprzątnieniem banku.

Czy i im odważę się dać radę Dmowskiego?

A przecież nie radził Dmowski głupio, a przecież nie aprobujemy decyzji powstania warszawskiego bez zastrzeżeń, przecież nie chcemy, by pobierający te decyzje mogli się chować za nastroje podwładnych, tak jak ci z 1863 r. za branke, albo ci z 1831 r. za podchorążych. Kiedyś wreszcie bohaterstwo powinno przestać być krwawą ofiarą odkupienia za brak odwagi cywilnej, męstwo — za brak przemyślenia, improwizacja — za nieprzygotowanie, a ideowość — za "wiszfultinkizm".

Jeśli tak, oceniamy przeszłość — to poczujmy się, idąc pod prąd nastrojów, odpowiedzialni za przyszłość, żeby nam nie przyniosła dalszego smutnego plonu niepotrzebnych bohaterstw do dalszych szkolnych wypisów. Musimy występować przeciw ideowej łatwiznie, dającej niepotrzebne straty w czasie wojny i wykolejenie w czasie pokoju, nawet takiego względnie pokoju, jaki przeżywamy.

Ale niech przeciw "ideowej łatwiznie" nie występują kundle z programem... jeszcze łatwiejszego życia. Nie wolno nam nic uronić z historyzmu w duszy polskiej, nie wolno tej duszy zubażać, odbierając jej poczucie imponderabiliów i zdolność do poświęceń.



Przyszedł do mnie na ostatnie pożegnanie kolega z prac jeszcze przedniepodległościowych. Wywiad na tyłach rosyjskich w 1919 r., więzienie bolszewickie, wytrwała i wbrew wszelkim nagonkom praca nad tzw. "Radami Ludowymi" na kresach, usiłującymi wciągnąć w orbitę walki o prawa socjalne biedotę rolną bez różnicy narodowości, członek Sejmu Wileńskiego, długoletni działacz wśród Polaków w Niemczech, uczestnik wyprawy do Narwiku. Pisał do mnie przez cały czas wojny listy, w których, wbrew wszystkiemu, starał się wierzyć — do końca. Teraz... przyszedł do mnie żegnać się na zawsze. Historycyzm przepalił mu duszę, jak kiedyś Towiańczykom. Wstępował do kontemplacyjnego zakonu. W oczach jego boleśnie pogięta międzyepoka, w której majaczyło ukrzyżowane ciało storturowanej ojczyzny nagle nabrała jasnego zrozumiałego wyrazu: Bóg walczy z Szatanem. Nie ma niezaangażowanych w tej kosmicznej walce. Każdy z nas jest uwiązany na niewidzialnej nitce, której drugi koniec znajduje się w ręku Bożym lub szatańskim.

Żegnając się, patrzył na mnie z rozdzierającym smutkiem, nie jak na tego bliskiego człowieka, od którego na całą doczesność oddali mur kontemplacyjnego klasztoru, ale jak na tego, którego nie zobaczy w wieczności. "Gdybyś był murzynem, urodzonym daleko od źródeł prawdy, może znalazłbyś miłosierdzie. Ale tobie była dana w twoim katolickim domu cała prawda..."

I ja żegnałem tego bliskiego dzielnego człowieka, chłonnego na życie, z którym łączyły mnie zainteresowania automobilowe, fotograficzne i wycieczki w odległe kąty świata, — z uczuciem duchowego zmiążdżenia. Tragedia życiowa obróci jego żywotność, jego zdolności organizacyjne, jego zdolność poświęcenia — w kontemplację.

Tragedia dziejowa te same wartości innych przemienia w spekulację.

Jak nie dać marnieć temu płomieniowi dusz i jak nim pokierować — celowo?

Należy za wszelką cenę utrzymać historycyzm w duszach emigracji, odczyszczając jego wynaturzenia.

### *Królewięta*

Wynaturzenia emigracji, niezależnie od przyczyn koniunkturalnych, biorą również początek w charakterze narodowym.

Kultura poszlachecka, oparta na przywilejach, produkuje człowieka, który nie wierzy własnym siłom. Stąd — oglądanie się na angielski skarb państwa, obozy, kombatanów, stąd przerosła organizacja, stąd potrzeba możliwie niekosztownego szymbla ideologicznego, który by uprawniał do pozostawiania w społeczności emigranckiej choćby w rapciach ze sznurka i w łapciach, ale z prawem do kreski wyborczej, do beneficjów, choćby skromnych, które ktoś gdzieś kiedyś dać "musi", bo przecie ten ktoś gdzieś nie może zezwolić żebyśmy zginęli.

Polak — nie chce się poczuć sam. Raźniej mu czuć za plecami



mi magnackie królewęta, których klamki można się uchwycić. Czy te królewęta, to rząd, który ma jakieś resztki w kasie, czy — ditto — jakiś generał, czy — ditto — jakaś partia, instytut, instytucja, drukarnia, kombatancki.

Stąd rozrosłe aparaty wydawnicze, kolporterskie, księgarskie jak chmary dworaków różnych królewętek, stąd dwa dzienniki jednokierunkowe w Londynie, utrzymywane aż do ostatnich możliwości jednego z nich, stąd trzy konkurujące ze sobą instytucje kolporterskie, wszystkie powołane za ten sam grosz publiczny, stąd przedziwne dzieje kolejnego kupowania i marowania drukarni za ten sam grosz publiczny bezprawnie przyaresztowany w kasetkach różnych królewętek, stąd wymierzenie każdej z tych instytucji, tylko tyłu pieniędzy, aby się utrzymało szczupłe grono z ich żonami i nie-żonami.

Stąd główne zagadnienie: "etat", a nie: "człowiek". Człowiek wydaje się tani, bardzo tani, gdy żłobek najmarniejszy drogi, bardzo drogi. Kiedy konfiskowano "Kulturę" i podcinało jej istnienie, na moją uwagę, że nie możemy pozwolić na zamknięcie jedyne go pisma mającego ambicje rozpoznawcze, jeden z dygnitarzy z rozbijającą naiwnością powiedział:

— Owszem, "Kulturę" należy zostawić, tylko dać ją innemu człowiekowi do prowadzenia.

Przypomniało mi się, jak w czasie tamtej wojny, jedno z pism polskich w Ameryce, przedrukowywujące ciąg za ciągiem powieść Sieroszewskiego, ukazującą się w "Tygodniku Ilustrowanym", zostało bez dalszego ciągu. "Owszem, należy ten odcinek zostawić" — zdecydował podobno wydawca — "tylko dać go innemu człowiekowi do kontynuowania".

Naturalnie, że przy takim nastawieniu, tych żłobków przeważnie nie prowadzą indywidualności, a często też nie prowadzą ich ludzie pierwszej klasy moralnej.

.....  
.....  
..... \*)

Daję przykłady ze swego odcinka, na którym mógłbym je mnożyć wielokrotnie, jak wielokrotnie mnożyć by je mogli inni — każdy opowiadając o swoim odcinku. Podobno po dworach ministerialnych z opancerzonymi funduszami, partyjnych z przyaresztowanym groszem publicznym działały się stokroć bardziej gorszące rzeczy.

Ale przecie nie o to mi idzie, żeby pisać oskarżycielskie akty. Można by przejść koło złodziejasków, kombinatorów i synekurowiczów wzruszywszy ramionami: czy to, na prawdę, coś tak niezwykłego, że w chwili rozgromu słabsze charaktery ratują się jak mogą?

---

\*) Autor w tym miejscu przytacza szereg konkretnych przykładów nadużyć.

Toteż, jeśli piszę o sztabach królewiat,\*\*) to tylko żeby i z tej strony unaocznić jak i od nich idzie fala ubezmyślniania, "ubierniania" emigracji.

Otocza te sztaby szerokie koło emigrantów, którzy muszą jakoś żyć — nie tylko materialnie, ale i ideowo. A te rzeczy nie są tak łatwe do rozdzielenia. Jeśli kto redaguje pismo, które bez subwencji się nie utrzyma, jeśli kieruje organizacją, instytutem, zakładem, to trzykroć się zastanowi, zanim coś takiego wydrukuje, powie, podpisze, ogłosi, zanim w jakiejkolwiek sprawie zajmie stanowisko, które się nie podoba jego subsydiodawcom. A subsydiodawcy to nie tylko kombinatorzy. Często — wiszfultinkiści, którzy nie mogąc sobie poradzić z zagadnieniami międzyepoki, postępują jak zmęczona matka, która woli byle czym zamknąć dziecku gębę, niż odpowiedzieć na krępujące pytania. Góra polska — zmęczona i będąca, jak cała ludzkość, w ciemności — woli dołom wcisnąć lalkę z jaskrawych łatwo ześcibanych optymistyczną nitką gałganów, byle oczyścić swoje sumienie, że przecież dało się jakąś treść duchową. Dół polski — zmęczony, pokancerowany, zawiedziony — z ulgą się dowiadyuje, że byle udać, że się tą lalką, tym truchłem ideowym interesuje, to już nie będzie wyklęty, to już będzie wisieć przy jakiejś imaginatywnej ideologicznej klamce.

### *Orgia fikcji w cieniu lipy ideologicznej*

Przy tej wątlej postawie duchowej jesteśmy jak słabowity chłopaczek, którego fantazję opychają nic nie kosztującymi opowiadaniem o czerwonoskórych. Cwałuje w marzeniach na dzikim mustangu w pogoni za Komanczami, potępia bolszewików, rządy reżimowe w Polsce, jest wyzywający w stosunku do tych wszystkich przeciwników, którzy go nie dosięgną.

Stronnictwa ogłaszają nieugięte uchwały, związki drukują krwiożercze odezwy, księża płynnie mówią patriotyczne kazania, poeci cwałują "ostrząc w zanadrzu miecz Wallenroda", publicyści wysilają się na maksimum sarkazmu, Nike im ciągle polatuje nad pobojobiskiem, a wróble w głowie.

Ale niech by przyszło psa przepędzić z drogi, to pogromca Komanczów woli udawać, że go nie widzi.

---

\*\*\*) Chciałbym wyraźnie odciąć się od przypuszczeń, że atakuję w tym ustępie czy w innych gen. Andersa, człowieka, którego zasługi bojowe są powszechnie znane, za to może niedosyć uświadamiana jest rola, jaką odegrała jego wola przy wyprowadzeniu Polaków z Rosji. Jestem szczęśliwy, że mogłem widzieć wojnę pod tym świetnym dowódcą. Nie wiem w jakim stopniu przedstawia materiał na męża stanu. Umysłowość wojskowa jest po temu zwykle złym przygotowaniem, ale historia daje liczne wyjątki. Wiem jedno, że spotkał go los każdego autorytetu na emigracji: prób tworzenia koła niego własnego podwórka. Kiedy jednak uderzyć szkodnika po łapie, szkodnik chowa się pod nogi protektora, wznosząc jazgot straszliwy, identyfikując się z protektorem i insynuując, że zaśnania go własnym ciałem, podczas kiedy w rzeczywistości jest odwrotnie: protektorowi może nie wystarczyć autorytetu na zaśnianie głupstw podwładnych.

Czyż nie takim jest np. postępowanie Zw. Pisarzy (ja cytuję ze swego odcinka, czytelnicy niech docyтуją ze swoich), który nie protestuje na trwonienie grosza publicznego przez zakłady nie równorzędnych wydawnictw, drukarni, instytucji kolportażowych, nie protestuje przeciw konfiskatom przez Polaków polskich wydawnictw ideowych, ale za to jest bardzo śmiały w ściąganiu w marzeniach Komanczów, choćby przez zaskoczenie Bogu Ducha winnych uczestników zgromadzenia uchwałą nie pisania do kraju, której, jako patriotycznej, nie wypadało nie podpisywać.

Uchwała, dostatecznie skompromitowana, żeby się nad nią rozpisywać (Zarząd był zmuszony oświadczyć, że nie obowiązuje ona członków Zw. Pisarzy), przypomina uchwałę starych panien, które przysięgły nie wychodzić za mąż, nim ojczyzna nie uzyska wolności i chodzą w nimbie poświęcenia. Mówię to nie dlatego, żeby w Związku nie było utalentowanych pisarzy, aczkolwiek ani tamtoczesny jego prezes, ani wiceprezes, ani sekretarz nie skalali się, mimo pięknego przedwrześniowego wieku, żadną książką, ale dlatego, że było jasne, że i tak możliwość pisania do kraju zostanie ucięta i że należało przeprowadzić proces zdzierający maskę z reżimu, który za wszelką cenę chciał udawać liberalizm i demokrację. A tymczasem, póki się da — pisać do braci, których twarze się nam zamglają, pisać póki się da...

Piszący te słowa na swoim odcinku przeprowadził taki proces: pisałem w pismach krajowych o rocznicy Monte Cassino, o kapelanach wojskowych, o obronie Westerplatte, o wrześniu i o Hubalczykach, o kresach, o polskiej z ducha szkole, o Polsce, jaka mi w pamięci została, pisałem do ostatniego tchu, póki się dało, aż doczekałem się okólnika zabraniającego nie tylko moje rzeczy drukować, ale i "przedrukowywać, chociażby bezpłatnie", doczekałem się drugiego zarządzenia zabraniającego recenzji o moich książkach, choćby to była ... książka o sjonizmie, doczekałem się trzeciego, kasującego ulicę mego imienia, doczekałem się zakazu drukowania już złożonego i przełamane go studium o mnie i smakowitej wiązki obelżywych wzmianek i artykułów. Mogę więc powiedzieć: chciałem pisać do kraju, robiłem wszelkie wysiłki, ale uniemożliwił to reżim, a nie własna uchwała.

Ale proces pojedynczego pisarza z reżimem nie ma większego znaczenia. Zawsze można wytłumaczyć, że dany autor gdzieś komuś ukradł jakiś zegarek i że dlatego tępi się go indywidualnie. Jeśli się jednak nie będzie drukować książek emigracyjnych pisarzy w ogóle, trzeba się przyznać do zakazu w czambuł. Taki zakaz nastąpił, ale z tej strony, co z tamtej strony prasa reżimowa skrapliwie pokwitowała. Związek pisarzy w Polsce, w odpowiedzi uchwalił nie wydawanie pisarzy emigracyjnych. Wspinała widowisko robione polskimi rękami.

Zanim przyjechałem do Londynu i zobaczyłem rodzime po-



lowanie na Komanczów, dane mi było zaobserwować to polowanie u obcych. W Rzymie, przed wyjazdem, wziąłem na film z życia emigracji rosyjskiej — właśnie rosyjskiego emigranta. Był wielce pomocnym c i c e r o n e, wstawiając fachowe komentarze: *Tiepier napjutsia* ("teraz się schłają"), *widno po mordie dat' pridiotsia* ("Widać, że trzeba będzie skutecznie mordobicie").

Pierwsza część — to obraz świetności dworu carskiego. W polskim filmie reżyser miałby paletę mniej barwną: minister przecina wstęgę na mostku przez Wkrę; ministra wita na dworcu w Tomaszowie Mazowieckim komenda "Strzelca" w mundurach; ministra wita w gmachu starostwa miejscowe Koło Ligi Morskiej i Kolonialnej w marynarskich mundurach (twarze te same); ministrowi są przedstawiani urzędnicy starostwa (twarze te same); minister z salonki żegna przedstawicieli miejscowego społeczeństwa w czarnych marynarkach i spodniach w paski (twarze te same).

Druga część filmu, to wnętrze nocnego lokalu "Bałałajka" w Paryżu, którego właścicielem jest b. ordynans b. Wielkiego Księcia. Sam WKsiążę jest żygolakiem w lokalu, generał-gubernator szatniarzem, księżna kwiarciaarką.

Człowiek by wolał nasze polskie, uczciwsze i produktywniejsze, tapicerskie i zegarmistrzowskie farchy, ale każda praca jest pracą: ze współczuciem się patrzy na starego generał-gubernatora biorącego napiwki.

Kiedy jednak rozjeżdżają się ostatni goście — "Bałałajka" wyprawia doroczny bal — jest to rocznica *Tiezo-Imianin Jowo Impieratorskawo Wielicestwa* — ichni Trzeci Maj.

Na szerokiej amfiladzie schodów ukazuje się w mundurze przy pełnych orderach gen-gubernator, za nim żygolak jako pułkownik Lejb-Gwardii, kwiaciarka w balowej sukni ze wstęgą św. Anny przez ramię, a właściciel lokalu, który funduje imprezę, zamieniwszy smoking na przynależny sobie mundur szeregowego z namaszczeniem odbiera palta i przyjmuje od swego szatniarza napiwek.

Zapytałem po przedstawieniu Rosjanina, jak wyewoluował ten świat fikcji. Okazało się, że dwumilionowa emigracja nie wytworzyła pospólnych wartości. On, na przykład, mieszka z dwoma innymi utytułowanymi, wszyscy szoferują. Każdy swój dzień powszedni traktują "na niby", coś jak przemijającą maskaradę. Tak już zaczynają drugie ćwierćwiecze swojej emigracji.

— A jak spędzacie czas w niedzielę?

— Cóż, w niedzielę popijemy sobie. Nasi staruszkowie, to w wolny czas sobie popolitykują (p o l i t i k u r a z w o d i a t).

— Na jaki temat?

— Mało jest tematów? Szereg lat kłócili się o legalizm: kto ma prawa pierwszeństwa do tronu. A ot, ostatnio, był sąd polubowny, złożony z najwyższych dostojemstwem. Umarł gen-gubernator kijowski, a było obyczajem, że generał-gubernatorstwo



kijowskie zawsze otrzymywał albo gubernator charkowski albo podolski. Ponieważ zdarzyło się, że obaj ostatni gubernatorzy tych gubernij jeszcze żyli, więc wybuchł spór.



Kiedy jechałem do Londynu, zapytywałem siebie, jak też wyglądać będzie wewnątrz polskiej emigracyjnej "Bałajki" w dzień świąteczny i pozatapicerski. Byłem na herbacie u chargé d'affaires Rosji przy rządzie angielskim z tamtej wojny. Miałem wrażenie, że zwiedzam grobowiec Tutankamena: już w hallu stał olbrzymi sztandar carski, zwisały dwugłowe orły, ściany od sufitu po podłogę uwieszane były carami, Wielkimi Kniaziami, Wielkimi Księżnymi. Pijąc herbatę bardzośmy się oburzali na obecnego pretendenta do tronu za jego mariaż z wdową po milionerze amerykańskim.

— Ale ta wdowa urodziła się w Rosji jako księżniczka rosyjska. I pochodzenie więc jest przyzwoite i dolary... jeszcze przyzwoitsze.

Bardzo miła nobliwa starsza pani podniosła rasową głowę i spojrzała na mnie ze zdumieniem:

— *Pomilujcie, kakże my budiem predstavlatsia pri dworie... kakoj to amerikansze.* (Jakżeż, na Boga, będziemy się przedstawiały na dworze.. jakiejś Amerykance).

Kiedy wychodziłem z grobowca, rozumiałem, że to już emigracja z patyną, że u nas jeszcze wszystko jest płynne, ale czy i o ile w innym stylu będzie tężeć?

Kiedy nasz "konspiracyjny rząd" w liczbie szesnastu mieli bolszewicy postawić przed sądem pokazowym, przypuszczałem, że sąd ostatecznie się nie odbędzie, bo tym razem bolszewicy trafią na ludzi zachodnich, którzy nie dadzą się do kajania spreparować. Okazało się, że zrobili co chcieli — bez żadnych tortur i zastrzyków. Jest na emigracji min. Stypułkowski, jeden z tych szesnastu. Jeśli zaprzeczy, chętnie uzasadnię swoje twierdzenie.

Po doświadczeniach więc takich jak ten proces miałem już mniej złudzeń. Wszelakoż ciekaw byłem jak się odbywają polskie zabawy w walkę z czerwonoskórymi.

Jak zwykle, w pierwsze dni witano mię serdecznie — powitaniami z mównic na odczytach, tuszami w teatrzykach.

**May I have personal word?** — jak mówi w środku audycji Gabriel Heater, załatwiając swoje sprawy — mam smutne doświadczenie tych powitań: że mogę rozprężyć się i chodzić w świetle przyjaźni ludzkiej nie dłużej, niż tydzień. Po tamtej wojnie, w pierwszy dzień mego przyjazdu do Warszawy, rzucili się z radosnym powitaniem endecy i Piłsudczycy. Dałem endekom artykuł o Piłsudczykach, Piłsudczykom o endekach i ci i tamci wydrukowali, i ci i tamci potem doszli do zgodnego wniosku — «świnia» i cały h o n e y - w e e k się skończył. Po powrocie z Meksyku artykuły: prokatolickie drukowałem w «Kurierze Warszawskim» i antyklerykalne w «Epoce». I znowu — świnia (potem i te i tamte ukazały się w jednej książce). **Thank you.**

Zadebiutowawszy w Londynie felietonem o przyjeździe do Londynu z pijanym i kradnącym transportem wojskowym, skwapliwie cytowanym przez pisemko ambasady warszawskiej,

wiedziałem, że już maluczko, maluczko po tych powitaniach poczną chodzić po Picadilli za świnię (i rzeczywiście...), śpieszyłem więc coś niecoś wyrozumieć o tych tu ludziach, wiedząc z doświadczenia, że czego się w pierwszym tygodniu życzliwości nie da wykorzystać, to już się potem zamknie.

Naprzód zrobiłem ankietę wśród pisarzy. Jeden z nich, notowany, i słusznie, na giełdzie literackim w Polsce wysoko, czytał mi fragmenty przygotowywanej przez siebie książki, które wydały mi się stokrotnie słabsze, niż to co dawniej pisał.

— Czy pan będzie to drukował po polsku?

Zrobił pogardliwy gest:

— Ach... Może... Naturalnie... po tym jak wyjdzie w innych językach: panie, przekona się pan, świat zadrży...

Drugi, którego książki miały dużą poczytność w Polsce przed wojną, oświadczył mi, że za pięć lat będzie miał willę na Amazonce, a za siedem lat — nagrodę Nobla.

— Jakoś ten londyński świat stwarza na mnie wrażenie, jakby ludzie mieli dywagację błędniaka — zwierzyłem się staremu londyńczykowi — od dzieł jednego świat zadrży, na drugiego tylko czeka Nobel...

— A trzeci mówi, że jego żona, literatka, tylko dlatego nie dostała Nobla, że on jako działacz nastawiony jest antyrosyjsko. Ale co tam pisarze — to lud wrażliwy, łatwo brodzący w fikcjach. Ot, zobacz pan naszych polityków.

Otóż miałem sposobność, w te pierwsze szczęśliwe dni powitań być zaproszonym na parę konwentykli o szerokim wachlarzu ludzi. Siedziałem, odrętwiały, aż do ostatniego undergroundu, kibicując przez 4 — 5 godzin niezrozumiałej partii jakiegoś politykierskiego mah-jonga:

*Po głębszym sondowaniu okazało się, że prawica P.P.S. gotowa byłaby przyjąć w zasadzie postulaty sformułowane przez lewicę Kuncewicza, pod warunkiem, że się przewentyluje...*

— A ilu ludzi liczy prawica P.P.S.? — pytam szeptem sąsiada.

Wymienił mi z namaszczeniem trzech ludzi.

— A lewica Kuncewicza?

— Trzyma się tylko na legendzie...

— Ale ktoś w niej jest, duchy nie redagują postulatów.

— Pewno ktoś jest i redaguje — zgodził się z logicznym wywodem sąsiad.

W tej chwili wszedł nowy uczestnik. Odstawił pękatą tekę i przyjmując filiżankę herbaty z rąk gospodarza, odgarnął spoczone włosy z gestem zmęczenia:

— Nie uwierzą mi panowie, to moje szóste posiedzenie dzisiaj.

— Ale też, jeśli da się sklecić porozumienie, będzie to pana historyczną zasługą, więc jakież ostatnie wiadomości?

— *Zachodzą nowe trudności ze strony Stronnictwa Demokratycznego, które przy ustalaniu wytycznych dla swego reprezentanta, przy ustalaniu platformy porozumienia, rozbiło się na dwa obozy — Iksa i Ygreka, przy czym zważywszy precedensy, związane ze smutnej pamięci fiaskiem konferencji porozumie-*

wawczej i koincydencji, które wśród szerokiego ogółu może dotąd wywoływać ta sprawa, należałoby raczej postulować umiarkowane poparcie Ygreka, z zachowaniem wolnej ręki i nie wchodzeniem w kompromisy, ale to naturalnie tylko o tyle, o ile zgodzi się na poprawkę c w punkcie piątym, zgłoszoną przez paryski odłam Stronnictwa Pracy.

— W imię mego stronnictwa muszę oświadczyć — zabrzmiał nacechowany siłą i stanowczością nieugiętą głos z kanapy — że jeśli sprawy zostaną skierowane tym kanałem, będziemy musieli z żalem stwierdzić, że nie widzimy dla siebie żadnej możliwości brania udziału w dalszych pracach porozumiewawczych i będziemy musieli odwołać się w sprawie dalszej taktyki do naszych mocodawców w kraju.

Znowu złowrogi cień rozbitcia zmroził zebranych. Do przedstawiciela, który wygłosił ultimatum, a teraz ciągnął z tacy największą kanapkę z miną w dalszym ciągu Mucjo-Scewolską i nieugiętą, skierował gospodarz głos nacechowany powagą.

— Ja wiem, jak stronnictwo pana w tym punkcie zawsze zaznaczało swoją nieugiętą postawę. Nie traćmy jednak nadziei — zatrzepotał w kierunku przybyłego działacza — że opinia wyrażona przez pana prezesa da się może, bez ujmowania znaczenia jej zasadniczej treści, tak się oszlifować, a raczej przekonstruować, rozumiecie panowie, po prostu przez zmianę układu szyku słów, że przy pewnej dobrej woli ze strony panów, za którą przemawia powaga chwili, będą panowie uważali za zgodne ze swoim sumieniem wziąć na siebie ciężar odpowiedzialności bez odwoływania się do swoich mandatarjuszy. Panowie pozwolą, że na chwilę usuniemy się do sąsiedniego pokoju z obu panami i przekonferujemy.

— O, z redaktora jest mistrz sztuki kompromisu — powiedział z zachwytem mój sąsiad; zobaczy pan, już oni tam coś wysmażą; czasem zdawałoby się, że już tak sytuacja wisi na włosku . . .

— A ilu członków liczy Stronnictwo Demokratyczne?

— Pięciu — wymienił nazwiska. — Po rozłamie pan X i pani Y wystąpili, a trzech panowie pozostali stanowią stare stronnictwo.

— Tak, tych jest mniej — rozważam — ale jest kobieta, to przynajmniej będą się mogli rozmnażać.

Tymczasem z sąsiedniego pokoju ukazał się promieniejący gospodarz i obaj pozostali panowie — jeden z krnąbrną, a drugi z melancholijną miną.

— Obaj panowie zgodzili się moje sugestie poddać pod rozważania swoich Komitetów Wykonawczych. Zaklinam tylko panów, żeby to było prędko. Wszak za trzynaście dni będzie rocznica kryzysu. Proponuję zebrać się...

Zaszeleściły kartki terminarzy. Jak wyranżerowane kokietki przechwalają się sukniami wyciąganymi z naftaliny, samooszukując się, że mogą stwarzać sensacje dnia, podczas kiedy zdrowym normalnym mężczyznom jest najzupełniej wszystko jed-



no co te czupiradła na siebie upstrzą, tak ci panowie profesorowie, redaktorzy, prezesi, radcy — dalibóg śmietanka, dalibóg to, co mieliśmy najlepszego (jak przecież dobrymi pisarzami byli i ci bzdurzący o Noblach i Amazonce), — poczęli mruzcando przebiegać nieskończone ławice poterminowanych posiedzeniami dni, wzajemnie błagając, żeby przystali by coś odwołać, dali się gdzie zastąpić, bożąc się, że to niemożliwe.

Gospodarz znowuż przeszedł sam siebie. Wyeliminował trudności po kolei. Zostało dwóch nieustępliwych tytanów, z których jeden mógł tylko w piątek za tydzień, a drugi tylko w środę za dwa tygodnie. Ci dwaj nazajutrz mieli się porozumieć z gospodarzem telefonicznie, decyzja jednego bowiem mogłaby ulec zmianie po otrzymaniu wiadomości z Paryża, na które jutro czeka, a drugiego, o ile zajdzie pewien fakt, co do którego prosił, byśmy nie nalegali na bliższe szczegóły, chodzi bowiem o dyskrecję wobec pewnej grupy ludzi, która na razie itd.



Z początku podejrzewałem tych ludzi, że się tak wyżywają umownie. Ostatecznie gra w szachy jest też grą umowną, a przecież ciekawą i nikt jej nie potępia. Zakładamy, że wieża ma zasięg taki a taki, a laufer inny, wysilamy się na szereg kombinacji odciążających głowę od trosk codziennych. Potem pakujemy pionki do jednego pudełka i nie powstało nam w głowie, że od tego czy tak postawiliśmy wieżę czy inaczej, zmieni się coś w życiu. Wieczór galowy w "Bałajce" był taką partią szachów.

Ale z przerażeniem coraz dobitniej konstatowałem, że ten polski mah-jong nie jest grany "na niby", że uczestnicy uważali, że po to zostali na emigracji, że ten mah-jong jest ... ich misją.

Z przerażeniem też skonstatowałem, że rząd i n c o r p o r e i mah-jongiści wszyscy razem wzięci w kupę, którzy zostali by "zaświadczać", "nie dać się zabiżnić" itp — nie wydawali nawet najmarniejszego biuletynu choćby na powielaczu w języku angielskim. Wszedłszy do lokalnego koła Tow. Katolickiego Polsko-Angielskiego, zobaczyłem, że ciężar roboty dźwiga parę Angielek przy daleko posuniętej polskiej abstynencji.

Mah-jongiści ... wydawali kilkadziesiąt polskich pism i komunikatów za te same biedne pieniądze z jednego źródła, usilnie przekonywali sami siebie i grali w mah-jonga, grali w mah-jonga...



Te pisma polskie jednak, poza wspominkami, należało wypełniać jakąś treścią. Wszelkie fikcje lubią mieć akcesoria. Chłopcy polujący na Komanczów noszą indyjskie pióropusze. Emigranci — w dziewięciu dziesiątych ludzie, którzy albo nie mogli, albo nie śmieli wracać, albo sądzili, że tu będą mieli lżejszy chleb — na gwałt musieli sobie posprawić takie pióropusze. Znane to zjawisko, że brzydka kobieta, której nikt nie



chce, tłumaczy, że bez miłości nie chciałaby wyjść za męża, grafoman — że nie może znaleźć wydawcy, bo za nic nie obniży poziomu, zły urzędnik — że nie awansuje, bo nie jest wazeliniarzem, zły doktor — że nie uprawia blagi, a zły kupiec — bo za nic nie będzie paskarzem.

Dlaczegożby więc pułkownik, urzędnik, którzy nic przydatnego na tę sytuację nie umieją, prokurator, policjant, dwójkarz, pisarz, którzy wracać nie mogą, pan Iks, który wracać nie chce, bo ma tu inną kobietę, pan Igrek, który był już na Kółmie i obawia się powtórki, robotnik, który znalazł znośny zarobek, dlaczegożby oni wszyscy nie mieli sobie też stworzyć ideowego uzasadnienia, że pozostają na emigracji, aby "trwać na posterunku", "zaświadczać swoim istnieniem", "stanowić żywy protest", "nie dać zabliznić się sumieniu świata".

Życie w cieniu ideologicznym jest przyjemniejsze, człowiek sam sobie wydaje się lepszy, a przy tym rachunek jest prosty: skoro już się pozostaje na miejscu, to przybicie szyldzika ideologicznego nic nie kosztuje, a że ojczyzna na tym dodatkowo zarobi — to tym lepiej.

Przybijacze szyldów, umieściwszy je nad każdym ideowym opłotkiem, pytają:

— Ludzie drodzy, a gdybyśmy tak jeszcze co pożytecznego dla ojczyzny miłej wymyślili, co nie pociągnie waszego kosztu?

Myślicie, że pytani im odburkną: "Jak bez kosztu, to niech tam".

Bynajmniej. Pytani są chłopaki szemrane, zgrane w emigranckiej szopce. Więc odpowiadają:

— Dla ojczyzny — wszystko... Po to tu jesteśmy, żeby istnieniem swoim itd.

Wtedy — zaczyna się druga lipa — lipa nieugiętości i nieulekkości wobec wszystkich mocy, które... nie mogą szkodzić.

## J A S K R A W E   Ś W I A T Ł O

### *Arogancja wobec Anglików*

Naprzód — Anglia. Okazało się — można psioczyć.

— W czasie wojny Abisyńskiej — opowiadali bywalcy — widzieliśmy w Hyde Parku Abisyńczyka, który na zakończenie swego przemówienia publicznie podtarł się sztandarem angielskim.

— I co? — pytali działacze z Odrzywołka, którym nie wolno było skrytykować nawet starosty (Paragraf 154 Kodeksu Karnego, art. 3. Statutu o Trybunale Administracyjnym, punkt o swobodnym uznaniu w pragmatyce służbowej, uprawnienia Prezesa Rady Ministrów w sprawie Berezy, etc., etc.).

— I nic...

Oszaleli ze szczęścia — próbowali. Szło jak po maśle. Popularność u czytelników rosła. Ja sam w pierwszych tygodniach po przyjeździe wygłupiłem się z artykułem w "Wiadomościach"

pt.: „*Chuck'im out, the brute*”. Potem, zaproszony na konferencję w sprawie opornych do *Foreign Office* tłumaczyłem ich nastroje przekonaniem, że Anglia wpieryw zdradziła Polskę, a teraz zdradza jej żołnierzy, deportując opornych do Niemiec. Zostałem na to — poczęstowany papierosem. Po ukazaniu się I tomu pamiętników Churchilla, sądziłem że, wobec paraliżu wszelkiej propagandy zewnętrznej przez absorbującego mah-jonga, dobrze będzie, jeśli będziemy reagować masowo na różne nieprzyzwoitości na własną rękę i, posyłając Churchillowi moją „*Golgotha Road*”, załączyłem list:

*Sir,*

*It is very easy to insult Poles nowadays.*

*But I think, you are the last man to do that distasteful task after so cheerfully causing the bloody Polish effort and accepting to lightheartedly the agreements of Teheran and Jalta.*

*Let me send you in sad homage my booklet*

*Yours sincerely,*

Na co w imieniu p. Churchilla Honorable Secretary, p. Odd powiadomił mię, że p. Churchill kazał mi za książkę, opisującą cierpienia Polaków, spowodowane niedotrzymaniem umów przez aliantów — najserdeczniej podziękować.

Poczułem się jak wtedy, kiedy mię w *Foreign Office* — poczęstowano papierosem.



Podczas, kiedy na Anglików nasze jeremiady wiele nie działały (są oni bezsilni jak i my w walącej się epoce), w tej wielotytułowej polskiej samoprzekonywującej się prasie przyczyniły się walenie do wytworzenia specyficznego ghetta. Poczynając od naszych pań, które się nie mogły nadziwić brudowi Angielek i ich złemu gustowi, poprzez panów, którzy nie mogli się dosyć napomstować złej kuchni, aż po publicystów, którzy pouczali nie mających politycznej wyobraźni Anglików jak mają postępować z Rosją (mimo gorliwego czytania prasy polskiej, dotąd nie dowiedziałem się, mimo wszystko — jak?) — wszystko zgodnie zaganiało emigrację do ghetta.

Zdobywszy sobie, po początkowych odmowach, prawo uczestniczenia w trzydniowych weekendach politycznych w specjalnym college w starym zamku Ashridge, gdzie można było słyszeć najtęższe głowy Anglii i brać udział w dyskusjach — pragnąłem tam wprowadzić Polaków i napisałem w tej myśli felieton. Od redaktora pisma otrzymałem maszynopis z powrotem wraz z listem:

*Drogi Panie Melchiorze,*

*Jestem tak zavalony materiałem aktualno-politycznym, że obawiam się, że nie zdążyłbym w terminie wydrukować wrażeń Drogiego Pana. Myślę, że znajdzie Pan dla nas coś mniej aktualnego.*

— Dlaczego pan właściwie nie przyjął artykułu? — spytałem przy okazji redaktora.

— Panie, ja tak nie cierpię tych Anglików — odpowiedział redaktor, który redagował pismo skrajnym, osobistym poświęceniem, a więc niewątpliwie leżało mu na sercu jak to pismo urabia umysł.

— Pan przecie powinien przeciwdziałać wytwarzaniu się ghetta.

— Każda emigracja wytwarza ghetto.

— A czeska?

Ale tylko gniewnie ruszył ramionami. Czesi — to też tęgie świntuchy, niewarci, by się coś o ich życiu na emigracji przewidywać.

A więc — wszystko, byle nie aktualność... Po tysiąc razy jak kto uciekał we wrześniu, jak siedział w obozie, jak się uczył w szkole, jeszcze jeden przyczynek ppłk. Grom-Błyskawicy: co Marszałek powiedział pułkownikowi Młot-Obuchowi o generale Szybkim-Prędkim, a jak już tego materiału zabraknie — jak żarli, jak się pieniali sto i dwieście lat temu.

Czy ja mam żal do tego redaktora? Całym sercem szanuję jego całożyciową pasję i pracę. Czy można, w ogóle, mieć do kogokolwiek pretensję w tej zwariowanej międzyepoce? Czy krytykujący sam potrafiłby coś sensownego robić na miejscu krytykowanych? Czy, krytykując, byliśmy w stanie pouczać Trumana, gdy mu się plan Marshalla nie udaje, Anglików, gdy im brak dolarów, Polaków wreszcie, gdy im się nie podoba Anglia, Ameryka, Niemcy, Rosja, rząd warszawski, rząd londyński, lewica demokratów, prawica Stronnictwa Pracy i centrum Kuncewicza? A co im ma się podobać?

Pewnego razu jechałem z Tel-Aviv do Jerozolimy wspólną taksówką. Towarzysze drogi umieli po polsku i cały czas trwała ożywiona rozmowa, w której jeden tylko pasażer nie brał udziału. Po godzinie drogi okazało się, że pochodzi z Polski, ale tyle przecierpiał na uniwersytecie od kolegów, że brzydzi się polską mową.

— Ale po niemiecku, by pan też nie zgodził się mówić? — zapytałem — no, i, rzecz prosta, po angielsku po tych krzywdach mandatowych; i po rosyjsku po pogromach; i po ukraińsku po obecnie trwających rzeziach; i po rumuńsku — po niesłychanych pogromach; właściwie i po francusku po wsadzeniu Żydów do obozów przez rząd Vichy i po węgiersku — ditto. Nawet po żydowsku nie — bo jakże siebie wzajemnie wyklinacie.

Poprawiłem się na siedzeniu z zadowoleniem, że tak odparowałem tę żydowską neurastenię.

A teraz przyszła kryska. I obrażone na cały świat redakcje żądają — mniej aktualnego materiału.

### *Chamstwo wobec kraju*

Chłopcy więc polujący na Komanczów-Anglików ustroili się w groźny pióropusz z kurzych piór uproszonych u kucharki;

uzupełnia go tomahawk z dziaduniowego cybucha — wrzask na "Administrację Warszawską".

Leje się wrzaskliwy potok dowcipów, urągania, natrzasań o nadmiernej ilości cudzysłowów.

"Marszałek" Żymierski "zarządził", aby w ustępach koszarowych wisiał "papier klozetowy".

O ile marszałek istotnie nie jest marszałkiem, to w każdym razie zarządzenie jest zarządzeniem, a papier papierem.

Całe życie w Polsce, jej wysiłki, pracę, przemiany, tak za-cudzysłowiono czytelnikowi, że biedak stara się wciągnąć powietrze dalekiej ojczyzny cienką rurką korespondencji z krajem. "Wujek Kazio chory..." — o Boże, a więc siedzi w więzieniu. "Ubuś jest dokuczliwy..." — no tak, to o Urzędzie Bezpieczeństwa.

Ale jak wyssać przez te coraz rzadsze ogólniki wiadomości o tym, co się robi z milionami polskich hektarów, motorów i muskułów. Czyż szanująca się prasa nie uważa za poniżej swojej godności umieszczać rzeczowe artykuły o tym, co się dzieje w polskiej "Szkole", w polskiej "reformie rolnej", "odbudowie", w całej wziętej w cudzysłowy "Polsce"? Emigrant kupuje, dławiąc się, pisemko ambasady, redagowane przez byłego żargonowego publicystę Singera. Emigrant jest jak chłopak umierający z głodu, stojący przed tarasem restauracji, z którego goście dają mu ostrygi; je te ostrygi, dławiąc się z obrzydzenia, bo nie może trafić na uczciwe ręce, które by mu dały kromkę chleba naszego powszedniego.

Jeśli ostrygami są wiadomości o Polsce, pływające między wzmiankami o dobrowolnym połączeniu P.P.S. z P.P.R., o entuzjazmie, normach, wyścigu pracy, to stokroć bardziej oślizgłe ostrygi musimy zjadać w wiadomościach obcudzysłowiających Polskę.

A publicyści, którym Nike wciąż polatuje nad pobojuwiskiem, a wróble w głowie, pomachują cudzysłowem — tomahawkiem w stronę Polski.

Ach, jacyż dzielni!...

Ach, jacyż nieulekli!...

Ach, jacyż nieprzejednani!....

### *Ostracyzm wobec współemigrantów*

Nieulekli wobec Anglików, nieprzejednani wobec reżimu warszawskiego, rozglądają się, kogo by naprawdę, a nie w marzeniach mogli uźreć i widzą... Polaków na emigracji.

To mi wyprawa wojenna!...

Jak obyczaj każe, należy się namalować na nią w najjaszawsze kolory. Więc do piór orlich ze zdechłej kury i tomahawka z cybucha przybywa gama malowideł, wyspanych z lakierowanego palca emigracyjnych Pustowójtówien i z lipsztyków nieprzejednanych Emilij Plater.

Teraz już stoją, pomalowani w pasy "Kultury Zachodniej",



romby "katolicyzmu", trójkąty "demokratyzmu", kropy "wolności", zygzaki "liberalizmu". Gotowi wnieść straszny bojowy krzyk.

Polacy na emigracji są zależni moralnie i materialnie, nie mają oparcia w zacudzysłowionej Polsce, liżą się z ran i z nieszczęść, bronią przed niedostatkiem i upokorzeniem, więc sądzicie, o mężni, że kurzy ogon, cybuch i lakier do paznokci na nich wystarczy.

Zreszłą tak niewiele przecie od nich wymagacie.

"Łatwiej się znajdzie usprawiedliwienie dla złodzieja, jak dla najuczciwszego człowieka wrogiej idei" — pisze polski bez cudzysłowu pisarz Andrzejewski w książce wydanej w kraju.

— Wyroki? Nadużycia? Nieróbstwo? — ale wszak stoi pan na stanowisku niepodległościowym?

Naturalnie, że stoi. Stoi jak cholera. Gra w bridża i zaznacza, że pogardza Bierutem. To się nazywa — "zaznacza stanowisko".

Kiedy tydzień powitalny minął, kiedy tydzień wyczekiwalny przeszedł, odwiedził mię z obolałą twarzą członek rodu. Pustawo już się poczynało robić, więc ucieszyłem się ludzkiej twarzy.

— Siadaj — powiadam — mam jeszcze jedną whisky z Włoch.

A ten — a to, a owo — a wreszcie: że czy ja wiem, że się ludzie niepokoją, bo "nigdzie nie zaznaczyłem".

— Czego?

— Stanowiska.

— Względem kogo?

— No, względem Rosji i reżimu.

— Puknij się w głowę. Nie początkuję z pisaniem, więc nie widzę potrzeby zajmowania stanowiska, chyba bym je zmienił. Bolszewikiem nigdy nie byłem, kraj mi zrabowali, nie wracam; wydano mi jedną książkę o bolszewickich draństwach w czasie tamtej wojny po angielsku i japońsku, drugą o bolszewickich świństwach w czasie tej wojny po angielsku w Ameryce, po włosku i po francusku. Pracuję dzień i noc nad trzecim tomem o Żydach, kończę dwutomowe "Ziele na Kraterze" — czego się czepiacie?

— Widzisz, nasze sfery polityczne uważają...

— Ja wiem, już mnie częstowano mah-jongiem. Przyjrzałem się już zasadom gry. Wymaga się od mas, niekosztownej zresztą, "karności narodowej", która zapewnia błogi spokój przy grze. Wówczas można odwrócić się od niekłopotliwych owieczek i wyżywać się na przemysłnych konwentyklach z secesją Demokratów, która ma się zapłodnić manipulując z centrum Kunczewicza. Nie, dziękuję, jestem niepalący, ale rezerwuję sobie prawo zapalenia cygara.

— Jakiego znowuż cygara? — członek rodu rozłożył ze zniecierpliwieniem rękę.

— Mówię o tym panu w przedziale, który uprosił, żeby wszyscy nie palili, żeby wszyscy wzięli na siebie dobrowolną karność niepalenia (czy jak w danym wypadku nie myślenia), a

sam wyciągnął najparszywszego gatunku fiakerską Virginia i zasmrodził powietrze.

Ten wrzask o "jednolity front ideowy emigracji" zgodnie wznoszony przez jej skłóconych leaderów idzie pospołu z pocmokiwaniem, że przynajmniej jesteśmy wolni, mamy swobodę myśli — nie tak, jak "tam".

Swoboda myśli!...

Konfiskaty "Kultury", wrzaski zupełnie nieprzytomne, w których kalumniatorzy zupełnie przestali czuć ciężar gatunkowy słowa, na Florczaka, Bobkowskiego, Czapskiego, Jantę-Półczyńskiego, więc na wszystkich, którzy usiłowali "spojrzeć" — wspaniała atmosfera "wolności myśli".

— Czemu więc pan nie spróbuje napisać tego, o czym mówimy — spytałem zdolnego młodego pisarza.

Uśmiechnął się smutno:

— Pan wie, że mam posadę w instytucji społecznej? I małe dziecko?

Nie wiem czy i ilu próbowało, czy też "wolność myślenia" wprowadziła tak zszumlowaną jednolitość, że nawet nie próbują, że z góry wiedzą, czego redakcje nie przyjmą. I ja tę wiedzę nabyłem i, po siedmiu artykułach odrzuconych w trzech pismach, przestałem pisać.

"Kundlizm", poszczuty przez czołowy organ jako "płycizna" w felietonie per wielkie "nie wolno wyciągać ogólnych wniosków" — przez jakichś belfrów publicznie (dosłownie) palony; trzeci tom "Monte Cassino" przykonfiskowany w sprzedaży przez cztery miesiące; przez cały dwuletni pobyt w Anglii wziąłem raz tylko udział w jakimś wieczorze autorskim, w tym właśnie miodowym powitalnym tygodniu; potem byłem przez wszystkie odczytowe imprezy w Londynie bojkotowany; z reportaży zawierających rozmowy po wrześnieu z Beckiem, Śmigłym i członkami rządu raz mi umieszczono okrucuch w sprawie potrzebnych redakcji komentarzy. Poza tym, albo mi ich drukować nie chciano, albo właśnie z przyprawkami; cykl mój o "opornych" poszedł tylko w swojej "grzecznej" części; kiedy jeden z redaktorów umieścił recenzję o "Monte Cassino", wycinając starannie wszystkie ustępy, w których recenzent podkreślał moje krytyczne uwagi — tłumaczył mi to z rozbijającą szczerością: "Co pan chce, nie mogę przecież zamykać sobie źródła, które by było w stanie wesprzeć pismo"; inny, zwracając mi maszynopisy, oświadczył: "Nie chce pan chyba, żebym wszystkich miał przeciwko sobie?"

Rozumiem tych redaktorów. Tylko czy im się nigdy ten kaganiec na pysku nie sprzykrzy, czy nie marzy im się inny, gorejący, który by nieśli w ciemniach międzyepoki przed rzuconą na świat częstką historycznego i tak śmiertelnie sprowincjonalnianego i zakołtunionego narodu?

Gdzie Związek Pisarzy, gdzie związki, gdzie stowarzyszenia, gdzie ludzie walczący o tę wolność, czujący potrzebę, czujący

smak tej wolności, kiedy nawet nawoływania do włączenia się w prąd myślowy angielskiego otoczenia uważane są za niepotrzebne, kiedy stan istnienia ghetta emigracyjnego uważany jest za naturalny, a w ciszy ducha i pożądany (bo się wynarodowia...)



Na wyjeźdźnym poszedłem na imprezę urządzaną przez Związek Pisarzy na temat "Literatura w kraju". Ponieważ przez dwa lata Związek w swych imprezach zajmował się krajem, wyzywając się nieraz w elukubracjach z Bożej łaski deklamatorów, które nic na bieg wypadków nie mogły wpłynąć, a ani jednej jego imprezy nie pamiętam, którą by poświęcił swemu pierwszemu obowiązkowi na miejscu — obronie trwonionych resztek kulturalnych przez spryciarzy z orszaków poszczególnych królewiat, więc zabrałem głos w dyskusji.

Próbowano bezskutecznie mnie z tych zebrzań wypłoszyć,\*<sup>)</sup> co się udało w stosunku do Kuncewiczowej i do Zofii Kossak, piętnowanej w przemówieniach czołowego histriona jako "agentka".

Okazało się, że próbowano mnie wypłaszać nie bez kozery, bo powiedziałem, że emigrancy pisarze wyglądają na tych rozważaniach pełnych zgorzkniałego krytycyzmu\*\*<sup>)</sup> o literaturze w kraju jak panie w łóżach, przyglądające się przez lorgnony i krytykujące. Czasy są ciemne i literatura powinna szukać dróg. A cóż sami emigracyjni literaci robią poza krytykowaniem literatury w Polsce? Gdzie są ci, którzy padają, krwawią się, szukając ścieżek w wykrotach? Czy przynajmniej dają koleżeńskie wsparcie tym, którzy czują ten obowiązek? Czy interweniowali, na przykład, w sprawie konfiskaty "Kultury"?

W tym miejscu prezes nie wytrzymał i zamachał pulchnymi rączkami:

— Proszę pana, ma uprawnienia, kto daje pieniądze..

Spojrzałem ze zdumieniem na groteskowego prezesa: do tych pieniędzy przez szereg lat dokładałem się z poborów w wojsku. Spojrzałem po sali — zobaczyłem szereg "udziałowców": Herlinga-Grudzińskiego, obsługującego stację nadawczą na straszliwym wzgórzu 593; Bielatowicza, tkwiącego na punkcie obser-

---

\*<sup>)</sup> Redaktor jednego z pism odmówił recenzentowi zamieszczenia sprawozdania o «Wrześniu zagwiącym», motywując, że... nie jestem autorem emigracyjnym. Dlaczego? — bo ja wiem: albo, że nie podpisałem uchwały bojkotującej czytelników w kraju, albo, że nie czułem się królikiem wobec pytona i mówiłem z Borejszą jak partner, albo, że nie dosyć «zaznaczałem» czy «oświadczałem», czy nie zdradzałem zamiłowania do mah-jonga... Bo ja wiem...

Wiem tylko, że ostracyzm tego redaktora nie pozwolił zasygnalizować dzieła o wrześniu tu, gdzie tyłu jest wrześniowców, tu, na tej pustyni kulturalnej, na której książki polskie nie wychodzą.

Inny redaktor, szukając, czymby mnie najskuteczniej unieszkodliwić, wyraził z powodu «Bitwy o Monte Cassino» pogardę dla autora tego dzieła, frymarzącego krwią żołnierską, kupczącego kośćmi z pobojuwisk przez... umieszczenie podobizn poległych.

\*\*<sup>)</sup> Referat Herlinga-Grudzińskiego był chwalebny wyjątkiem.



wacyjnym na Głowie Węża, na której ani jeden yard nie pozostał nie tknięty pociskiem; Olechowskiego, zasypanego przez eksplozję na Drodze Saperów; Kuszelewską, która straciła w bitwie córkę; Pełczyńską, która straciła w bitwie syna; im też odliczano z ich żołądu; pewno na sali było więcej takich, a po za salą — ze setka tysięcy.

Ale... prezes Zw. Literatów nie chce widzieć tego jedyne go w swoim rodzaju Tow. Akcyjnego, które właściwe udziały płaciło krwią mężczyzn i śmiertelnym bólem matek, nie chce widzieć tych pytań, zadawanych sobie samotnie nocną godziną "za co?", nie chce, nie rozumie zupełnie, że ci ludzie pytają "gdzie idziemy?", że walczą o sens swego istnienia, groteskowy prezes zaciera pulchne rączki i mówi: "Pieniążki się dało, panie szanowny...



Po tym d i c t u m prezes wkrótce ustąpił.

Wybory, które nastąpiły, są niezmiernie charakterystyczną ilustracją tego wszystkiego, co w tej rozprawce piszę. Wybrano poetę B. Nie tego B., który każe "milionom walczyć, tysiącom umierać", tylko tego B., który w zanadrzu "miecz ostrzy, bacząc, aż luny zapłoną".

Czy głosowano chętnie na ten zanadrowy miecz? Na trzydzieści oddanych głosów *było dwadzieścia białych kartek*. Trudno o silniejszy wybuch niemej rozpacz, że ani idei nie ma, ani ludzi, którzy ją reprezentują i na których można by głosować. Bo przecież i tych dziesięciu nie głosowało z entuzjazmem na pocket-Wallenroda. Przynajmniej od jego z nich miałem list: "Dałem głos, bo B. jest tak leniwy, że się równie łatwo nie wygłupi.



Za cenę, żeby tylko emigranci pozostali karni, zwarci, gotowi... w gębie, obniżono skalę wymagań od emigracji do zera.

Cóż jest przedmiotem nicowania emigranta? — czy nie "zezuje na reżim warszawski". Ileż chłodnych spojrzeń otrzymał ten kto odprowadził na dworzec wracającego do kraju a to doktora, a to inżyniera, kiedy górnikom mówiłem, że lepiej kopać w Polsce, niż w Anglii.

Ale czy się nicuje — co ten pan "trwający" itd. robi, czy nauczył się angielskiego, czy stara się umeblować swój hrubieszowski, albo radomskowski łeb, czy podgląda jakie też tu ulepszenia są w jego fachu?

Czy się otacza szacunkiem, powszechnym uznaniem — tych nielicznych, co przerobili jakąś celowo podjętą pracę, czegoś dokonali, czymś polski dorobek wzbogacili? Wiemy do znudzenia o tym i owym pisarzu karierowiczu, który pojechał do kraju — czy wie kto o pisarzu-benedyktynie, Pietrkiewicz, któremu Anglicy wydają antologię stu kilkudziesięciu angielskich i polskich pisarzy, ugrupowanych epokami, tłumaczonych — Anglicy na polski, Polacy na angielski przez samego autora. Czy Pietrkiewicz "zaświadcza", "trwa", "wykazuje" — czy też jest



nierobów solą w oku, pospołu z podejmującą rozległe zamierzenie literackie Zofią Kossak? Ale prawda, Zofia Kossak (do której wyrobienia politycznego wolno nie mieć zaufania) "zezowała na reżim" i o jej pracy pisać nie wolno, o pracy Pietrkiewicza nie warto (ten znowuż "zezował na faszyzm"), za to wolno zalewać ludzi wypocinami ankiety, w której pan Przyprztycki ustala, że w klasie czwartej... nie... w piątej dostał dwójkę z matematyki — chociaż, ostatecznie, zdaje się, że w czwartej.

Panie Przyprztycki — ja wiedziałem, że pan na nic nigdzie "nie zezuje" (chyba na "prace zlecone"), aż tu nagle okazuje się, że pan zezuje na Panteon Narodowy, że już się układa w nim ze swoją biografiją, że i pański "but prawy powieszają w Sybilli, a nad straconym lewym będą żale", jak nieutulony będzie żal, jeśli z całą pewnością nie da się ustalić, kiedy to, właściwie, otrzymał pan tę dwójkę, świadcząca o genialności już w tak wczesnej młodości (bo zdaje się, jednak, że, ostatecznie, w czwartej klasie...)

Cóż się dziwić, że na emigracji nie ma kultu pracy, kiedy nie ma opinii. Gdyby wpisowe do tej emigracji było droższe, byłaby i opinia.

Prawo do nazywania się emigracją polityczną powinnyby mieć tylko ludzie twórczy — tych stać by było na płacenie stawki. Człowiekiem twórczym, emigrantem politycznym może być zarówno pisarz szukający nowych wartości, jak robotnik, szukający form gromadzkiego polskiego współżycia, nie tylko polityk, ciągle uczący się spraw świata, ale i ex-wojskowy, który po swojej tapicerce chodzi na kursa, na odczyty, czyta.

Ale stawkę, której należałoby wymagać od emigranta politycznego obniżono do możliwości tłumy, który nie może wracać i szuka azylu, któremu się, po prostu, często nie chce wracać i szuka wsparcia, a któremu się schlebia, że spełnia posłannictwo. Od tłumy tego wzamian za podporządkowanie się nic się nie wymaga. Zakłamanego stosunku leaderów i masy nie może łączyć rzetelna wartość — opinia. Dlatego opinię zastąpiła jej namiastka — ostracyzm.

## WSTYDLIWY CIEŃ

Jak należało oczekiwać — pod nieprzewietrzaną budowlą załęgła się pleśń. Ta pleśń, to kompleks niższości wobec wszystkiego, na czym wyżywa się fikcja emigranckiej "nieustępliwości".

Kompleks niższości wobec Anglików.

Kompleks zastraszenia wobec Rosji i jałowości wobec reżimu.

Kompleks załapania wobec Polaków w kraju.

...

### *Kompleks niższości wobec Anglików*

Trudno jest zaobserwować kompleks niższości w poźyciu z

Anglikami, bo Anglicy nie lubią upokarzania ludzi, tak drogiego kulturze wschodniej.

W Polsce na posiedzeniu jakiejś Rady Nadzorczej ktoś wzdychał:

— Zachód... Świat... Co za rozmach... Choćby taka afera Kanału Panamskiego?... Jeśli nawet nieuczciwość, to co za skala ludzi...

— E, proszę pana dyrektora — wtrącił obrażony za Polaków skromny buchalter — ludzie by się u nas znaleźli, byle tylko kanał był.

Nie wątpię, że i na emigracji znaleźlibyśmy wielu podskakiewiczów, gdyby był kanał. Tymczasem jeśli i był — to sklepiony.

Czasem bowiem natykał się człowiek na oznaki, że jednak dosyć tego paskudztwa płynie — rurami krytymi. Uderzająco powtarzały się relacje ludzi, co do których mam pewność, że nie mają ani arogancji, ani giętkiego karku: Anglicy rozpoczynali konferencję nieposzlakowanie grzecznie i zupełnie nie licząc się z naszą opinią, w środku konferencji stwierdzali, że Polacy są "non-cooperative", kończyli konferencję bez zdawkowych grzeczności, z którymi ją rozpoczynali, ale wyraźnym szacunkiem dla strony przeciwnej. Widać przywykli do Polaków miękkich w zamkniętych ścianach i aroganckich na placu publicznym — idealna kombinacja... dla Anglików.

Ze tej arogancji naszych artykułów nie traktowali Anglicy jako poczucie godności zrozumiałem, kiedy mi redaktor pisma, w którym umieściłem cykl artykułów o naszych górnikach w Anglii, powtórzył o tych artykułach opinię angielskiego urzędu — "how dignified". A przecież te artykuły nie były takie nieprzejezdane, starały się jednak być rzeczowe.



Jeśli tylko arogancja wobec Anglików dochodzi do tego miejsca, w którym należałoby wyciągnąć z niej logiczne, ale nieprzyjemne wnioski — natychmiast zamienia ją u arogantów "zdrowy rozum", "poczucie rzeczywistości" itp.

Jest zrozumiałe, że przedstawialiśmy zbyt małą siłę, by wymóc inną politykę wobec Rosji. Ale to nie znaczy, że nie byliśmy w ogóle partnerem na taką skalę, na jaką nas było stać.

Anglikom nie warto by było walczyć z Rosją o Wilno i Lwów za cenę utracenia naszych kilku dywizji. Ale na pewno nie warto im było, ani uchylać się od pomocy wrześniowcom, ani od zawarcia dwustronnej umowy demobilizacyjnej, ani od przekazania w całości Funduszu Społecznego, ani nie trwaliby przy żądaniu ustąpienia gen. Sosnkowskiego (a więc zdezawuowania rozkazu N. 19), ani nie czułby się nasz rząd tak samotny i bez oparcia, gdyby Anglicy byli postawieni przed konkretną perspektywą rozbrajania nas przemocą. Z całą stanowczością stwierdzi każdy, co był z naszym żołnierzem blisko, że ze strony tego żołnierza byłby kompletny posłuch. I każdy, co zna historię angielską i mentalność tego narodu wie, że nie dopuś-

ciłby on do kłopotliwych ekscesów przy sprawach nie mających dla niego większego znaczenia.

Ale cóż, kiedy nasza arogancja nie posuwa się po za granice wygody. Zabawny rząd dusz się wytworzył: ceniący symbol, kiedy naród płacił i "realną politykę", kiedy zapłata wypada bliżej i w krótkim terminie.

Weźmy okres późniejszy, pekapeerowski, kiedy już byliśmy bez broni.

Były wiceminister oświaty, b. szef wydziału oświaty 2-go Polskiego Korpusu, podpułkownik Alexandrowicz, protestował, że wrześniowców nie przyjmuje się do P.K.P.R., nie zgadzał się, by ci nasi towarzysze broni, którzy cierpieli najwięcej, mieli być Polakami drugiej klasy, bo nie byli na żołdzie angielskim. Wyłączenie ich tym samym rzucało cień na naszą przeszłość żołnierską — nigdy bowiem nie uważaliśmy się za kondotierów, nigdy nie uważaliśmy się za najemne wojsko, nigdy nie byliśmy (tak sądziliśmy) w służbie obcej. Ppułkownik Alexandrowicz nie chce mieć tego cienia na swojej służbie żołnierskiej, nie przyjmuje ochłapa z tak hańbiącego tytułu, zrzeka się P.K.P.R., mając sześćdziesiąt kilka lat bierze pracę chłopca ogrodniczego.

Są tacy jego koledzy, którzy, nie chcąc podpisać zobowiązania na słuchanie cudzego króla, nie ulękli się gróźb, nie ugięli się, zostali zesłani do Niemiec, jak stoją, bez żadnej odprawy, pod nadzór niemieckich policjantów.

— Nie wyślecie już dalszych partii — powiedziałem do urzędnika *Foreign Office*.

— Jak nas kto nie lubi — wydał usta — to go nie zatrzymujemy.

A jednak ci pozostawieni sobie "oporni" okazali się partnerami na skromną miarę swoich żądań — dalszych partii nie wysłano.

Pporucznik Ulatowski poszedł jeszcze dalej, niż prof. Alexandrowicz — nie zgadzał się na rejestrację, żądał, żeby go nie traktowano jako siłę roboczą, sprowadzoną do kraju, tylko jako emigranta politycznego. Raz po raz dawano mu więzienie i czas do namysłu, raz po raz, samotnie walczący człowiek, wracał na więzienną pryczę.

Sam był Alexandrowicz, sam był Ulatowski, sami byli pozostawieni sobie "oporni". Póki pisałem reportaże z ich obozów, póty mi je drukowano; kiedy chciałem wyciągnąć wnioski, wszystkie redakcje były na głucho zamknięte.

Ani nie jestem pewien, czy logicznie były wyprowadzone wywody Ulatowskiego, ani nie przeoczam, że do "opornych" spłynęli Niemcy i kryminalne szumcwoiny, ani nie uważam, żeby godny najwyższej czci odruch ppłk. Alexandrowicza dał się rozciągnąć na sto tysięcy ludzi.

Ale to przecież tam, u nich, schroniły się resztki oszalałego, pokrwawionego, niepodległego ducha.

Czy wsparli się o polską opinię?



Czy też musieli za Łozińskim ("Prawem i Lewem") powtórzyć:

*„Nie można, niestety, dawać kredytu słowom aktorów tej nie-  
szczęsnej gry społecznej i politycznej... Między tą cnotą w us-  
ciech, a egoizmem w duszach leży przepaść cała, przewiązana  
girlandami frazesów obywatelskich”.*

Panowie z wielkim pyskiem, dzikusy bezkarne, podcierające się, jak ów Abisyńczyk, sztandarem angielskim, deklamatorzy Wyspiańskiego — cożeście nagle wody w usta wzięli?

Bo — realizm?

W takim razie, czy można prosić o jedno? — O zaprzestanie maskarad, panowie paradebauerzy?

◆  
Jeśli tylko pojawi się — nie kanał, ale najmniejszy kanalik — miał rację poczciwy buchalter — znajdują się ludzie.

Kiedy po całym churchillowym zaświnieniu, już po wojnie, znalazła się córka Churchilla nad Como, otrzymała bukiet od naszych oficerów. Bukiet miał symbolizować Polskę, był więc czerwono-biały. Gdyby córka p. Churchilla była w towarzystwie przyjaciół Moskali (bo to był jeszcze początek 1946 r. i w piśmie oglądaliśmy Churchilla w mundurze angielskim i moskiewskiej papasze, fotografowanego tak niedawno w Jałcie) — miałyby ułatwione zadanie odstępując czerwone pół bukietu dla nich.

W parę lat po zakończeniu wojny przyszły dla naszych wojskowych jakieś zapóźnione odznaczenia amerykańskie. Ambasador amerykański zarządził ich nadanie kuchennym wejściem, (w mieszkaniu prywatnym), dano do zrozumienia, że obecność gen. Andersa byłaby krępująca. Lotnicy na "paradę zwycięstwa" nie zjawili się w swoim czasie. Ale teraz sklepionym, ukrytym kanalikiem dekorowani pobiegli. Wszyscy. Między nimi bardzo rzetelni ludzie. Tym gorzej.

Po co pobiegli?...

Kiedy po bitwie pod Monte Cassino spadły pierwsze odznaczenia angielskie, gen. Juin, dowódca francuskiego Korpusu Ekspedycyjnego odmówił, uzależniając przyjęcie od zgody gen. de Gaulla. A przecież ręce przypinające order nie były splamione zdradą wobec jego własnego narodu.

Ale wtedy jeszcze nasi wojskowi sobie mówili: za rok we wrześniu... Za rok pod Kijowem... Za rok opóźniające działania na Sycylii...

Co mówią teraz, biegnąc po te fatalaszki przez kuchnię, w pekapeerowskich mundurach, znamionujących służbę Jego Królewskiej Mości, biorąc odznaczenie z rąk rządu, który nie uznaje legalnego polskiego rządu, któremu oni przysięgli wierność?

Po cóż to robią? Za cenę "dobrych stosunków"? Dlaczego Piłsudski nie rozgrzeszał się ceną dobrych stosunków, kiedy uchylał się od austriackich orderów? A przecież tam mógł być usprawiedliwiony realiami — szło o uzbrojenie legionów i o usamodzielnienie ich Komendy.



Może ci, zwykle jakże hurrapatriotyczni, powiedzą, że Piłsudski był romantyk, dadzą za przykład realizm Anglików? Ale Churchill nie przyjął po wojnie Orderu Podwiązki, motywując, że order ten udzielany jest emerytom politycznym. A przecież Churchill otrzymałby ten order, uświęcony wspaniałą tradycją, z rąk prawowitego króla, we własnym kraju, wsparty o własne, potężne stronnictwo. Nie chciał jednak niczym zmniejszać swojej niezawisłości. A ileż tej niezawisłości mieć muszą ludzie skazani na straszliwą samotność, na brzemie okrutnej odpowiedzialności, ludzie, którzy reprezentują naród powalony, któremu odmówiono wszystkiego.

Pierwszego sierpnia 1944 r. pisałem w powoływanym już memoriale:

*„Umysłowość wojskowa dąży do rozcinania sytuacji i do znajdowania prostych form działania. Trudno rozumie, że magazynowanie wojska może być szkodnictwem (Nb. — wówczas trwał ożywiony werbunek jeńców z armii niemieckiej), że decyduje jakość a nie ilość, że trzeba wyrzec się wyraźnego rozkazodawstwa.*

*Ta umysłowość wojskowa jest wystawiona teraz na wielkie tentacje. Nieodpowiedzialne boczek angielskie łudzą mirażem przyszłej wojny, co odpowiada nadziejom i tęsknotom tej wojskowej umysłowości. W ten sposób może wytworzyć się paradoksalna sytuacja, że ci panowie będą więcej radykalni i patriotyczni w stosunku do rządu londyńskiego, niż ludzie świadomi. I trzeba będzie ten słaby rząd ostaniać wszelkimi siłami przed bardzo patriotycznymi hasłami antyrosyjskimi i żołnierskimi — w zrozumieniu, że te patriotyczne hasła skończą się na kondotierzyźnie”.*

Napisałem już w jednym miejscu, że Anglicy nie byli w stanie dotrzymać sojuszu z Polską.

Mam jednak głębokie obrzydzenie do Churchilla za formę, w jakiej to zrobił.

Jeśli się obiecało komu walczyć do końca, a jednak bandyci wydali się zbyt silni, to przynajmniej asystuje się biernie, nie dogadując, kiedy zdradzonemu przyjacielowi odbierają zegarek, że z całą pewnością wystarczy pozostawiony budzik, nie tłumacząc, jak ów karczmarz („Księgi Pielgrzymstwa”) poranionemu w jego obronie gajowemu, że bandyci musieli go napaść, bo był kłótliwego charakteru itd.

Polak z przerażeniem patrzył na straszliwy bezwstyd męża stanu, który zabranie 52% ziemi sojusznika nazywał *improvement of frontier* — poprawką granicy, podyktowaną strategicznym bezpieczeństwem Rosji.

Pamiętam, że kiedy, w wykładzie dla 350 spadochroniarzy angielskich zaraz po mowie Churchilla z lutego 1944 r. zaprodukowałem im ogromną sylwetową czarną mapę Rosji Eurazjatyckiej po Ocean Spokojny i przyklepioną do niej ku-

leczkę Polski malowaną jasnym kolorem i powiedziałem, że względy strategicznego bezpieczeństwa kolosa wymagają przepełnienia kuleczki — sala parsknęła śmiechem. A przecież to ich własny naród tak okłamywał Churchill w przede dniu powojennych rozgrywek.

Churchill więc jest dla nas symbolem Teheranu, Jałty, promotorem, obrońcą i rajfurem macherki dziejowej. Wszystko nam jedno, że chciał uderzać przez Bałkany, że ciążyła wola Roosevelta. Ameryka nie dawała nam gwarancji. Churchill tych macherek bronił, Churchill je usprawiedliwiał, on to Mikołajczykowi bił pięścią w stół, aby go skłonić do zdrady, on Andersowi, kiedy nasz Korpus był potrzebny, mając w tece układ Teherański zaprzędający Polskę, śpiewał hymny o zachodniej kulturze Polaków i obiecywał... Hamburg, on to Andersowi po zabawie proponował, aby zabrał sobie swoje dywizje, on, spotwarzając własną ofiarę, pisał o Polakach w swoich pamiętnikach stylem paszkwilanta, on, kiedy rozległ się protest Supera i innych, dał zadosyćuczynienie w formie wyrażenia wiary, że Polacy znowu chwycą za broń, kiedy tego będzie potrzeba. Takie zadosyćuczynienie z tych właśnie ust możemy tylko odczuć jako ponowną zniewagę.

I cóż nas znowuż spotyka? Ci, którzy za zadanie swego życia uważają protest przeciwko rozbiorowi Polski, urządzają obchód w Instytucie im. Sikorskiego z udziałem Churchilla, cynicznego tego rozbioru propagatora, wykonawcę i zachwalacza.

Nie wyobrażam sobie, żeby w naszych uroczystościach narodowych uczestniczyli w swoim czasie Metternich lub Stackelberg, a przecież oni nas nie zdradzili, nie wykorzystali, zaświniając następnie.

Tymczasem tu ci, którzy potępili słusznie Mikołajczyka, że ułatwił światu zbrodnię, łączą się w obchodach z człowiekiem, który dokonał szatańskiego chwytu, podając temu światu zbrodnię owiniętą w oszukańcze opakowanie. Trudno o jaskrawszy dowód kompleksu niższości.

Więc gdzież cały ich sens istnienia na emigracji, które ma być wyrażeniem protestu? Jeślibyśmy nawet nie przywiązywali większego znaczenie do tej nieustannej deklamacji o nieustępliwości, do tej szopki zgrywającej się w umownych fikcjach — to i w szopce obowiązuje jakaś logika: wiemy, gdzie szablon ma być komiczny, a gdzie patetyczny. Ale ta emigrancka szopka staje na głowie: nagle król Herod poczyną niańczyć dzieciątko, które chciał zarżnąć, diabeł śpiewa hosannę pastuszkowie proszalnie nastawiają Herodowi puste kobiałki, a Oblubieniec jako gospodarz stajenki pośpiesza usadzić go na mównicy.

I tylko pocziwy osiołek, któremu na razie nie każą przedzierać się przez żadną zieloną granicę i byczek, którego na razie nie pchają na żaden bunkier — dmuchają jak dmuchały w opuszczony żłobek w nadziei, że ciepłem własnej krwi i oddechu przechowają i do wzrostu pobudzą to Dobro Wie-

czne, które nie da się ani zniszczyć, ani zakłamać, ani sprzedać, ani nabyć.

W promieniu jego najświętszego ciepła nie zimno jest w stajence wygnańczej. W promieniu jego najświętszego ciepła nie drętwieją dusze w kompleksie niższości.

## 2.

### *Kompleks bezwładu wobec bolszewizmu*

Kompleks niższości wobec Anglików jest dublowany przez kompleks niższości nie tylko wobec Rosji, ale i wobec reżimu rządzącego w kraju.

Polska w minionym dwudziestoleciu nie mogła znaleźć swego oblicza. Narodziła się ponownie na dawnym szlaku historycznym w straszliwej nędzy. W perzynę obrócono niemal dwa miliony budynków, zaprzestano całkowicie uprawy na więcej niż czterech milionach hektarów, zniszczono cztery miliony bydła, wywieziono dziesięć tysięcy najcenniejszych maszyn, z pozostałych zdarto sto tysięcy ton miedzianej armatury i ponad milion metrów pasów rzemiennych. Jeszcze w 1921 r., w trzy lata po tym, kiedy świat zakończył wojnę, koło miliona ludzi gnieździło się w siedemdziesięciu pięciu tysiącach chlewów, stodół i nor w ziemi.

Linie kolejowe, szosy i spławy tego zlepku trzech państw były niepowiązane, centra gospodarcze uplasowane w myśl potrzeb innych organizmów, dawne rynki kontynentalne (Rosja i Niemcy) zamknięte, stosunków na świecie żadnych, floty handlowej żadnej.

Kiedy zachód dostawał odszkodowania aż do pociągów szumiących pszczelnymi ulami włącznie, kiedy w Niemcy pakowano olbrzymie kredyty, Polska została sama, rządzona przez garść ex-legionistów, nie mających do końca pojęcia o gospodarczych i światowych zagadnieniach, wspomaganych radami typowo prowincjonalnej galicyjskiej biurokracji, rekinów reprezentujących obce kapitały i Żydów.

A zagadnienia przyszły na miarę wielkiego mocarstwa. Podczas, gdy pozbyte tego typu zagadnień państwa bałtyckie lekką ręką dokonywały reformy rolnej, dla nas, w nieokrzepłej Polsce, była to wiwisekcja dokonywana na elemencie szlacheckim sparszywiałym, ale wtedy jeszcze w głównej mierze reprezentującym ciągłość historyczną, nastarczającym na wszystkie zapotrzebowania myśli polskiej od konserwy aż po radykalnie ludowe z Poniatowskim i Kosmowską i radykalnie robotnicze z Jodką, Daszyńskim i Moraczewskim włącznie.

Podczas kiedy Finlandia mogła spokojnie dorabiać się na swoim drzewie, Estonia na lnieniu, Litwa na nabiale i Łotwa na bekonie — my mieliśmy dywersję ukraińską na południu, bolszewicko-białoruską na północy, 800.000 Niemców, trzy miliony Żydów, brak mieszczaństwa, przemysł w obcym ręku, nieprze-warstwienie wewnętrzne i poczucie, że musimy się zdobyć na



mocarstwowość, bo zginiemy — stąd politykę dumpingową, stąd owe sławne polskie węgiel i cukier, pięciokrotnie tańsze zagranicą.

A wszystko to działo się — w zmieniającym się świecie. Polski Copik biegnący z wywieszonym językiem za magnitogorskimi i dniprostrojowymi St. Bernardami, polski komarzy brzęk Ozonu wobec ryków norymberskich, sprawiać by mogły wrażenie komiczne (i ileż tych natrzasań się było po 1939 r. w prasie zaborców), gdyby nie przecucie tragedii.

Tragedia polegała nie na naszej biedzie, na naszych trudnościach, tylko na tym, że ta bieda, przełamana o konieczności geopolityczne (wraz z Kopem i innymi ukrytymi pozycjami — 60% budżetu państwowego szło na wojsko, kiedy w obecnej reżimowej Polsce — 8%) nie pozwoliła na wytworzenie żadnego stylu.

Naprzód, rzecz zrozumiała, dominowało poczucie radości:

*Choćby figowe drzewo nie zakwitnęło i nie było urodzaju na winnicach, choćby i owoc oliwy pochybił i role nie przyniosły pożytku i z owczarni by owce wybite były, a nie byłoby była w oborach — wszakże ja w Panu weselić się będę, rozraduję się w Bogu zbawienia mego. (Hab. III).*

Próbowano, po prostu, tę żywą patriotyczną radość z odzyskanej niepodległości przekuć w kapitał stały. Ale radowanie się w permanencji bez zrozumienia sensu rzeczy, które się pełnią, jest cechą idiotów — stąd zrozumiałe ośmieszenia pokrzykiwań o “radosnej twórczości”. Stworzenie zaś sensu istnienia w przede dniu międzyepoki, w której zapadną się suwerenności, a znaczyć będą konglomeraty, było niemożliwe. Jeśli Copik Kwiatkowskiego mógł się wydawać śmieszny, to Matuszewskiego adamsmithowskie wydziwianie na niego sprawiało wrażenie jakby dziewiętnastowieczna ballerina w trykotach węgłowała ze swymi puentami na salę, na której odchodzi wariacki dżig.



Z taką spuścizną nieporozumień znaleźliśmy się na emigracji. Winimy siebie i położenie geograficzne, ze starannie maskowanym poczuciem niższości patrzymy na dokonania Rosji, nie rozumiejąc, że na zatarcie naszego stylu jeszcze większy wpływ niż geopolityka wywarła międzyepoka.

*Do świadomości ogółu Polaków jedna sprawa całkowicie nie dotarła. Przeoczyli ją wśród własnych poświęceń i bohaterstw. Taka niezależność polityczna o jakiej myśleli i myślą Polacy już nie istnieje. Walczyli o coś, co właśnie wtedy, gdy składali temu najwyższe ofiary, zapadło się niepowrotnie w przeszłość. Historia wyprzedziła ich. Chodzi teraz o coś więcej, niż o Polskę. I żadne straty z lasów nie odwrócą historii. To wszystko daremne. Walka o fikcję, o zagubiony i niepowrotny cień.*

Tak pisze Andrzejewski, pisarz katolicki, którego po raz ostatni widziałem na bankiecie wydanym z okazji przyznania nagrody jego książce pt. “Ład Serca”. Siedziałem przy księ-



dzu Kornilowiczu z Lasek, mając naprzeciwko ojca Kolbe, który wziął na siebie śmierć głodową w bunkrze, by ocalić bliźniego (patrz sprawozdanie z Dachau Morcinka).

Nie, nie możemy nie liczyć się z atmosferą, z której wyszedł ten pisarz.

Ktoś mi zabrał, niestety, "Sprawy Polaków" Osmańczyka i nie mam możliwości skonfrontowania z tym, co tu piszę, jego wielkiej kilkaset słów liczącej dedykacji, kiedy mi książkę przesyłał. Ta dedykacja jest przejmującym listem na tamtą stronę barykady od człowieka, który w moich oczach stawiał pierwsze kroki, od człowieka, który przed wojną poszedł z całą świadomością na ciężką i niebezpieczną pracę wśród Polaków w Niemczech. Książkę dobrze pamiętam — cała ona wyrasta z bolesnego i zdumionego odkrycia tegoż samego co i u Andrzejewskiego: "taka niezależność polityczna, o jakiej myśleli i myślą Polacy — nie istnieje".

Książka Osmańczyka przypomina mi obraz Van Gogha: łan połamanego burzą przejrzałego zboża, nad którym, niesione wichurą, kłębi się czarne ptactwo w zwałach chmur. Obraz ponury — a przecież czuć taką dynamikę słońca za chmurami, że obraz wieści jeden wielki blask, kiedy ptaki i zwały chmur przelecą i łan zapali się złotem (panów malarzy przepraszam za zastanawianie się nad tematyką).

Przy bolesnym skrzywieniu ust Andrzejewskiego i Osmańczyka, w ich oczach widać pierwszy blask — przecucia.

Może, naturalnie, kompleks niższości zasyczyć, że obaj pisarze poszli na łatwy chleb, ale jak długo można wszystko tłumaczyć w tak prostaeki sposób? Czy nie należałoby pomyśleć, że ci trzydziestokilkuletni ludzie tkwiący w kraju, mają więcej uczuloną obserwację, niż tkwiący na obczyźnie sześćdziesięciolatki, stanowiący jądro "bezkompromisowej" publicystyki?

Co ta publicystyka pozytywnie przynosi poza psioczeniem? Ta publicystyka w ogóle nie ma pozytywnych zagadnień, poza życzeniem, żeby Moskal sobie już poszedł i żeby oni mogli wrócić i żyć spokojnie. Z trudem wyszukując — jakimże to zagadnieniom pozytywnym ta publicystyka służy, znajdujemy aż cały organ "Lwów i Wilno", który już w tytule samym wskazuje cele.

I cóż w nim spotykamy poza ciekawymi publicystycznymi artykułami p. Mackiewicza bądź na tematy ogólno-światowe, bądź na tematy techniki emigranckiego mah-jonga? Same wspominki o żarciu, piciu, polowaniach, roztkliwianie się kraj-obrazem, poklepywanie po ramieniu sympatycznych "tutejszych". W Związku Obrony Kresów Wschodnich siedzą panowie szlachta. Prawosławny Sawczuk, wracający w ogień z modlitwą, by Bóg duszę jego uratował; prawosławny Białorusin Siemieniuk, padający przy nadludzkim trudem wwindowanym dziale, żałujący, w pełnej świadomości konania, że za mało walczył, pytający swego dowódcę, "czy nasi pobijają?"; prawo-

sławny Białorusin Bułak, już ranny, własnym ciężarem rzucający się na minę, by dać atakującym dojście do bunkra — czyżby do tego Związku należeli? Czy należą do niego te tysiące ich kolegów, którzy pozostali przy życiu — prawosławnych i unitów i rzymskich katolików, Białorusinów, Ukraińców i Polaków? Czy ich kto do tego zaprosił? A gdyby zaprosił — cóżby zrozumieli w tym dziwnym organie, marzącym o dobrym przedwojennym żarciu?

Kiedyś otrzymałem od Pawła Monicza, chłopca ze wsi Cerkiewnej pod Szczorsami list, który jest tak wskaźnikowy, że go przytaczam w całości:

*„Nie mogłem wytrzymać i do końca przeczytać pańskiego dzieła, aby nie zwierzyć, że byłem w złym zrozumieniu o wszystkim mnie otaczającym.*

*Rumienię się ze wstydu, przetrząsając w pamięci swoje błędne domysły, wirujących w ciemnej głowie. Szukałem zawsze winnych poza sobą, a siebie liczyłem zawsze oszukany, skrzywdzony, poniewieranym przez wszystkich, nawet tych, którzy spełniali swój obowiązek. Nie wiedziałem, że płaceniem przez ojca podatku za swój grunt wspomagamy tym rozwojowi państwa, budujemy lepsze jutro dla takich samych jak ja. Myślałem, że nasz podatek idzie tylko na pensje urzędnikom. Nie widząc rozwoju w swej wsi, nie mogłem tak nie myśleć, a wytłumaczyć o tym nie było komu. W roku 1927 zbudowany został na rzece Niemen duży most. Przedtem, wiosną, prom nie chodził i nie można było przejechać furmanką. Lecz ludzie nie widzieli w zbudowaniu mostu wygody dla siebie, lecz mówili tylko, że zarobił inżynier. Ciemnota rozpościera swoje skrzydła nad naszymi wsiami, z czego korzystają szkodliwe elementy”.*

Teraz dziesiątki tysięcy Moniczów przeczytało nie przypadkowo otrzymaną książkę, ale chłonęło cudownym skrótem przybliżoną przed oczy Wielką Księgę Dziejów w męczeńskiej drodze przez Eurazję, w bojowym szlaku przez ćwierć globu, przemierzonym w żołnierskiej ofierze ramię w ramię z polskimi kolegami.

“Szkodliwe elementy” całkiem teraz opanowały wieś Cerkiewną, której “Lwów i Wilno” ma bronić. Ale czyż Paweł Monicz znajdzie tam cośkolwiek o naszym dorobku na kresach? Czy też, znowu “wytłumaczyć o tym nie ma komu”?

Prawda, że była to “Polska B” i redaktor ma z dużą dozą słuszności lekceważenie dla tego dorobku. Ale jeśli tak, to w imię czego chce wracać do Wilna? W imię przeszłości? A gdzież tej przyszłości wizja we “Lwowie i Wilnie”?

◆  
Nie chodzi o “Lwów i Wilno”. To pismo jest tylko łyżką tej samej wody zaczerpniętą z emigracyjnego kubła. W całej naszej prasie, w ogromnej masie wspominków, rzecz dziwna, nie

ma wspominków o tym, co się tworzyło w minionym dwudziestolecu. A przecież dużo pracy było w Polsce. A przecież wielu z tych, co tę pracę pełnili, jest między nami. Nie napiszą o tym za nic w świecie, aby się nie natknąć na sarknięcie: — “co się wygłupiasz?”

Wrzesień 1939 r. był też naszym olbrzymim wysiłkiem, a przecież z powodu mego “Września Żagwiącego” nieraz natrafiałem na to sarknięcie. To nie są sarknięcia niezdrowe — dyktuje je poczucie tego jak daleko nasze możliwości stały od istotnych potrzeb i troska, abyśmy sobie nie zaciemniali wzroku megalomanią.

Ale cóż, kiedy na polu emigranckim, pielonym z megalomanią surową ręką dziejów, rozrósł się pasożyt, który widziałem na Bliskim Wschodzie: nawierzchnię liści ma purpurową — to arogancja i ostracyzm, spód bladej — to niewiara w przeszłe dwudziestolecie, niewiara w siebie w terażniejszości, niewiara w przyszłość — kompleks niższości. Kompleks niższości wobec Rosji, kompleks niższości wobec jej ludzi, jej metod, jej satelitów, jej osiągnięć, jej agentów, jej przemian. To wszystko trzeba jedną czarną szybą przesłonić, zamazać, odciąć, bo jeszcze by się kto skusił, bo jeszcze kogo bolszewicy i reżimowcy przekonają, bo jeszcze kogo uwiodą. Pisarz, który by miał możliwość tam pojechać i wrócić, wróci na pewno z duszą zatrutą.\*)

Ludzie, którzy rzekomo reprezentują wielkie wartości kultury zachodniej, są obrońcami katolicyzmu, tradycji, dorobku wieków, liberalizmu, demokracji i tylu wspaniałych rzeczy — nie czują się partnerem. Czują się jak królik, który nie powinien spojrzeć w oczy pytona, bo sam mu polezie w gardło.

Będąc z kilkuletnim dzieckiem w ogrodzie zoologicznym Whipsnade, zostałem w *Bird Sanctuary* podprowadzony przez dozorcę do krzaka, w którym miał pokazać gniazdko z piskletami sikorki.

Dziecko wyrwało się naprzód, podbiegło, zajrzało w krzak, wyciągnęło rączkę i cofnęło ją nagle z przestraczem.

Zajrzawszy, zobaczyłem najmniejszą z odmian sikorek, sikorkę szarą, jak roztoczywszy mikroskopijne skrzydełka nad

---

\*) Brak wymiaru rzeczywistości w ocenie tego czegoś straszliwego jest właściwy umysłom, które, zdawałoby się, powinny mieć proporcje w myśleniu.

Kiedy mnie reżim warszawski zapraszał na zwiedzenie kraju, między innymi miałem wizytę b. wysokiego asa naszego przedwrześniowego wywiadu, który mię zapewniał, że z życiem nie wróce — Bezpieka zaaranżuje wypadek samochodowy, lub coś w tym rodzaju.

Kiedy do Ameryki postanowiłem jechać na «Batorym», chcąc choć w ten sposób dotknąć jedyne go dostępnego mi skrawka Polski, odwiedził mię były wysoki dygnitarz M.S.Z., twierdząc z całą stanowczością, że z «Batoro» mnie nie wypuszczą i odwiozą do Gdyni.

Nie chodzi tu o różnicę w ocenie moralnej zabójców Trockiego, porywaczy Kutiepowa i tylu innych. Ręce Katyńskie jednakowo oceniamy. Tylko chodzi o zmysł rzeczywistości, o poczucie proporcji, które mać — kompleks niższości wobec bolszewickiego pytona.



dziećmi, podniósłszy mikroskopijny dziobek, wydawała groźny syk przeciw tym groźnym istotom, zaciemniającym nad nią niebo i sięgającym po życie ich dzieci. Kto wie, czy gdyby nie ten syk, dziecko nie uszkodziłoby gniazda zanim zdążylibyśmy zainterweniować.

Pomyślałem sobie, że niezależnie od tego jak jest fizycznie słaba — jest partnerem w walce o to co kocha. Cóżby jej pomogło, gdyby zamknęła oczy i usiłowała — nie patrzeć.

### 3.

#### *Kompleks załapania wobec kraju*

Jeśli poczucie niższości wobec Anglików, jeśli poczucie niższości wobec Rosji i każdego zjeżdżającego Borejszy jest rzeczą przykrą, to najboleśniejszą jest ta tak wychwalana, uświęcona, wysublimowana pokora wobec kraju, liczenie się z "wolą kraju", czepianie się fikcyjnych mandatów z kraju. I znowu — tak jak tam niezłomność, tak tu ta pokora jakże pięknie jest wymalowana!... Oto my... cóż... w puchach... niegodni... gdy kraj walczył... my jego sługi... to kraj sam zadecyduje... Tak, tak, panie dobrodzieju, czy pan z trefów chodzi?

Wojna nas pouczyła jak piekielne kłamstwa mięszają w kadzi ludzkości i nie możemy się nadziwić, że łgarstwa grubymi niemi szyte są brane za dobrą monetę.

Ale zajrzyjmy w emigrancki młynek kłamstw, jak skutecznie pracuje. Czyż wrzucona w niego arogancja nie wypływa jako niezależność, lub jako nieustępliwość, ostracyzm — jako opinia, brak odwagi cywilnej wstrzymania powstania — jako bohaterstwo, wiszfultinkostwo — jako ciężyzna, a wreszcie chęć ulżenia sobie — jako poddanie się woli kraju.

Jeśli kraj każdą minutę każdej doby drżał pod gniotem ucisku, a nam nic nie groziło i nic nie brakowało, to nawet żadne Monte Cassino, ani Falaise nie mogło zrównać wkładu. Ale od tych czasów im się fizycznie polepszyło ( w stosunku do rządów Gestapo), nam pogorszyło, a duchowo i im i nam jest tak samo ciężko. Poza tym — iluż na emigracji znalazło się akowców, wrześniowców, deportowanych, więźniów politycznych — tych najczynniejszych i tych, co byli najaktywniejsi. A i przedtem — ileż najlepszej młodzieży przeszło granice, ileż dusz wykuwało się w bitwach i pochodach. Jeśli wszystko to nakrywa zbutwiałym wierzchem Zaleszczycka waliza mah-jongistów, to nakrywa niesłusznie: nie ma żadnych danych przypuszczać, że skład ideowy emigracji jest gorszy, niż skład ideowy kraju.

Na to korzący się wobec kraju mówią, że cóż, że tamci siedzą na ziemi, a my... wiadomo... oderwani...

To my, w Klubie Trzeciego Miejsca możemy tak mówić, ale wy?... Jakim prawem?... Przecież tu "oddechamy atmosferą wolności", przecież tu "możemy myśleć", przecież tu "jesteś-



my u źródeł wielkiej zachodniej kultury — matki naszej”, przecież tam, w kraju, “atmosfera zafałszowana”, przecież tam “wzrok narodu odwracany mirażami odbudowy, mirażami ziem zachodnich — od istotnej rzeczywistości, jaką jest niewola”.

Więc jakże? Więc dlaczego deklamacje o woli kraju? Uprzymiarnijmy sobie, każdy z nas z osobna, swoich korespondentów z kraju: czy w listach matki-staruszki, siostry, przyjaciela, kolegi nie drży utajone pytanie: “co myślicie, drodzy? Co będziecie robić? Co nam radzicie?”, czy też płyną i pouczenia? Owszem, ja od pewnej kategorii korespondentów otrzymuję i pouczenia. “Przeżywamy bezkrwawą rewolucję; nie jest to miły proces, zwłaszcza, że poczęty obcą przemocą, ale konieczny” — pisze jeden; “ofiary są, nie wszystko może nam się podobać” — pisze inny — “ale nie ma wielkich dzieł bez ofiary, a w Polsce pełni się wielkie dzieło”. Mógłbym cytować naręczami, ale po co? To, według was, karierowicze. Im przecie nie ślubujecie pokory, ich “bezwstydných lokajskich wynurzeń” nie uważacie, słusznie zresztą, za wolę kraju. A tamci, którzy wam się podobają? Iluż najbliższych, których kochamy, których nie zobaczymy już nigdy — na was ma podniesiony wzrok. Ileż otrzymujemy żarliwych listów — “nie przysyłaj paczek, napisz co myślisz, co będzie?” Widzimy ich, tych drogich nam nad wszystko, jak biegną do siebie z naszymi ostrożnymi listami, wczytują się w ukrytą treść, rozszyfrowują polerowane słowa — całą siłą miłości, całą siłą wspomnienia (“on zawsze tak mówił, kiedy chciał powiedzieć, że...”, “on takiego wyrażenia w tym sensie nigdy by nie użył”). Czy nie tak są czytane nasze listy?

Obrzucali Mikołajczyka powóz kwiatami, odprzęgali z tego powozu konie, bo wioził tego, który od was przyjechał.

Umacniali się żarliwą modlitwą duszy:

*„Może ten człowiek, przeciągany triumfalnie rynkiem krakowskim uda, że nie widzi kamienia, na którym ongiś przysięgał Kościuszko — udamy i my, że go nie widzimy”.*

*„Może nie wyciągnie złotego rogu, który niewątpliwie dzierżą ręce braci na Zachodzie — będziemy udawali, że nie czekamy na hasło”.*

*„Może uda, że zagubił czapkę z piór — niech mu z tym lżej będzie, pòdeprzemy”.*

*„Na wszystko pójdziemy, na mękę czekania, na trwanie, na bezsilne patrzenie, na codzienną pracę — bo wy tam, w blasku swobodnego świata, czuwacie”.*

I nagle — tacy wspaniali, tacy niezależni od Anglików, tacy jasnowidze wobec Rosji, tacy nieubłagani wobec reżimowców, tacy pełni ostracyzmu dla emigrantów mah-jongści za-

cierają rączki, certują się przed progiem: "Ależ gdzie tam... Ależ my niegodni... Ależ rodacy szanowni... pierwszy kroczek.."

Pierwszy kroczek! Już raz go dali krajowi — przy decydowaniu o wybuchu powstania. Widząc chyba, jak tu sprawy stoją. Czy nie?...

Nie, nie okłamujcie nas. To nie kraj od nas żąda podporządkowania, to wy sami, żeby osłonić swoją nicość i bezsiłę. Obniżyliście tak wpisowe do emigracji politycznej, zabrnęliście w tak komicznego, niepojętego dla normalnego człowieka mah-jonga, tak rozdrapaliście grosz publiczny dla podwórkowych celów, tak odcięliście duszę emigracji od myślenia, tak wywindowaliście się na wieże podniebnych fikcji i załgań, że jeśli tylko trzeba będzie złazić do jakiejś decyzji, trząść się zaczniecie i bełkotać: niech kraj pomoże złazić na grunt realny.

I to jest trzeci i najbardziej bolesny wasz kompleks niższości — wobec kraju, który chcecie wyzwolić.

Kraj nie pomoże wam, bo kraj będzie musiał bić się z tamtej strony barykady.

Pomoże wam — obcy drugi oddział. I neo-Churchill, który przyrzeknie neo-Hamburg, czy neo-humbug.

## *Klub Trzeciego Miejsca*

Kończę ten list, napisany jednym ciągiem, który się rozrósł w istną broszurę. Tak się rozrósł, aż, ze starego narowu, poprzedziłam go podtytułami, jak kiedy kucharka doda ornament na cieście, gdy je "wydaje na stół".

Pomyślawszy, że a nuż ten list zostanie wydrukowany, doznałem ściśnienia serca. Nie dlatego, że ma luki myślowe — nie ma ich tylko w komunałach; nie dlatego, że łatwo wyśmiać, naciągnąć i poprzekręcać obrazowy styl pisania, którego literatura polityczna unika — bo uważam, że to niebezpieczeństwo warto jest ponieść wzamian za możliwości trafienia do serca i wyobraźni czytelników w tej straszliwej międzyepoce, kiedy rozumowanie nie wystarcza, a tabliczka czterech działań arytmetycznych nagle daje mylne rozwiązanie.

Nie dlatego, że obfitują momenty osobiste — bo nie tkwiąc w żadnych władzach, pędząc tryb życia na skutek pracy w domu bardzo wyizolowany, w wielu wypadkach mogłem swoje twierdzenia ilustrować tylko dostępnymi dla mnie faktami z życia mego i najbliższego otoczenia.

Ale dlatego doświadczam ściśnienia serca, że dla wielu ludzi, których tak bezwzględnie krytykuję mam wyrozumienie; i dlatego, że pisząc, wolę piórem wspierać jak rozwalać. Ta moja dośrodkowa predyspozycja przejawia się nawet, kiedy piszę o obcych: o Żydach w "De Profundis", o bolszewikach w "Opierzony Rewolucji", nawet o Niemcach w licznych ustępach "Smętka". Jeśli więc myślę, że swoim pisaniem mogę przyczynić się do rozbijania, nic dziwnego, że obracam pióro z namysłem. Ale zrobiłem rachunek sumienia dokładny.



A więc, poczynając od ludzi, dla których mam wyrozumienie:

To co napisałem, jest zbudowane w pewnej części na wypowiedziach w cztery oczy, listach przyjaznych, aktach dobrej woli w stosunku do mnie. Staralem się zakamuflować nazwiska, ale jeśli którego z nich nie odcyfruje czytelnik, to zaw-

sze odcyfruje zainteresowany. Idąc za tokiem książki, przytwierdzając jej w myśli, trafi nagle — na siebie. Będzie uważał, że postawiłem mu zniekształcające zwierciadło i w tej chwili przejdzie do zwartego szeregu przeciwoobrony mahjongistów, kundli, histrionów, tropicieli Komanczów, belfrów narodowych, niobizujących leniów, dziadów demonstrujących kalectwa przed kościołami, bridgistów, operowych Wallenrodów, synekurzystów, złodziejaszek, agentów czynnych i agentów potencjalnych, kondotierów in spe i wieszczów próbujących wzlotów na wytchłych pęcherzach. Przyłączy się do nich, korzystając z mojej dyskreacji, aby jako "osoba niezainteresowana" potępić "obiektywnie" to, co napisałem.

Przyjaciele — nie róbcie tego. Nie ze względu na mnie — w deszcz nie ma znaczenia dodatkowa strużka wody. Ale ze względu na siebie — nie zamykajcie sobie możliwości wstąpienia do Klubu Trzeciego Miejsca. Żadna was tam kariera nie spotka. Nie dożyjecie w tym klubie jego czasu. Ale jedno wam ten klub może dać — otwarcie okien. Jeśli was dusi astma mah-jonga, to jej się pozbędziecie. To wam obiecujemy łatwo. Jeśli was dusi położenie Polski — to recept nie znajdziecie. Ale znajdziecie jedno: jesteście, jak górnicy, którzy kuli w kopalni, aż się zawaliły ściany jej. I niektórzy mówili, że wybawienie za cienką ściankę i nie frasowali się; i mijały dni, a kiedy panowała ciemność, poczęli zasypani majaczyć, a byli, co w skrytości mówili: otośmy zgubieni. Ale znaleźli się, którzy powiedzieli: "Wiemy, że za tą ścianą, u której darmo czekacie, jest noc i będzie noc. Ale pójdźmy dalszą drogą i zobaczymy czy wyjścia nie ma. Od ojców bowiem to wiemy i od ich ojców ojców, że przysypyany nie ma czekać, tylko iść, aż obaczy światółko. I od ojców to czucie mamy i od ojców ojców w jakiej stronie calizna, a w jakiej przejście. Prawda, że od wieków takiego zasypania nie było; a przecież pójdźmy a próbujmy!"

Nie lekceważcie tej oferty. Zastanówcie się. Podeprzyjcie ludzi, których pisanie jest potępione, bo wiedziecie, że potępiają ich rozporządzający pismami, stowarzyszeniami, głośnikami — że nie potępią ich uczciwy człowiek na emigracji.

Czy znaczy to, że kierownicy tej emigracji, do których zaliczacie siebie są gorsi, niż ogół tej emigracji? Teraz, kiedy szumowina rządząca przez lata wojny spłynęła? Kiedy wśród was mamy mniej ludzi przypadkowych, a więcej takich, którzy wykazać się mogą całozyciowym świadectwem pracy i poświęcenia?

Znaczy więc to tylko, że w sytuacji ponad ludzkie siły trudno wam było, a często niemożliwie nie dać się spychać w dziedzinę fikcji, skoro w dziedzinę fikcji zepchnięto niepodległość, której całe życie służyli jedni z was, solidarność międzynarodową świata pracy, która była przedmiotem całozyciowej wiary dla innych, braterstwo, dobroć, uczciwość, poświęcenie. Jakże się dziwić, że idąc za tymi "fikcjami", będąc im wierni,



doszliście do ślepego kąta starej epoki, w którym szalejąca międzyepoka ustawiła wam stoliki do mah-jonga.

Specjalnie z ciężkim sercem pisałem o prasie, bo tu moich ostrych słów nie dało się zakamuflować, mimo, że — z jednym wyjątkiem, którego nie udało mi się pominąć — nie wymieniałem tytułów ani nazwisk.

Jeśli dla prasy tej mamy słowa potępienia, to dla ludzi, którzy ją dźwigali, przede wszystkim musimy znaleźć wyrazy zrozumienia i serdecznego braterskiego współczucia.

Nieraz powtarzamy, że nasz osąd względem postępowania ludzi, którzy przeszli tortury musi być powściągliwy, bo nie znamy właściwej miary bólu fizycznego, bo nie znamy granicy wytrzymałości.

Ten, mniej więcej, stosunek, winniśmy mieć do naszej prasy emigracyjnej.

Miałem to "szczęście", że przez lata wojny nie dano mi w tej prasie emigracyjnej pisać, ten wielki zaszczyt, że do prasy kierował własnoręcznie podpisane listy premier, zabraniając drukować moich artykułów, że na Middle East wysyłał w tym samym celu depesze minister wojny, że pomniejsze pieski, czując wiatr, z własnej inicjatywy rozsypywały zamówiony nieopatrznie i złożony już przez zecera artykuł traktujący o najobojętniejszych sprawach, że usiłowano zesłać mnie do Afryki, grożąc odebraniem miesięcznego sześciofuntowego "bilietingu", że zabroniono prywatnej inicjatywie wydać (w marcu 1940 r., kiedy świat nie rozumiał, co znaczy uderzenie niemieckie, a my leżeliśmy zapluci po „*achtzehn Tage Feldzug in Polen*") "Żagwiącego Września" po polsku, jak również po francusku i angielsku gotowych już tłumaczeń, że do końca nie akredytowano mnie jako korespondenta wojennego, napisanie więc "Bitwy o Monte Cassino" było nadużyciem, które nie wiem, czy mi minister wojny darował.

Odcięty od publicystyki, nie stanąłem, jak inni, w tej straszliwej izbie tortur, kiedy, dzień po dniu, ręce aliantów i wrogów zdzierały z Polski purpurę, kiedy "Wiadomości" szarpały się, wbrew pogrożkom swoich i obcych, walczyły do ostatniego naboju, do ostatniej możliwości, aż do samej chwili zamknięcia. Kiedy Zygmunt Nowakowski całym natchnieniem pisarskim, chłostą, goryczą, żalem, pomstą, krwią serdeczną kładł się na progu ludziom, przekraczającym próg czwartego rozbioru. Kiedy Mackiewicz, sam zupełnie, skazany na jednolności, borykał się racami swego talentu — jednodniówkami tytułowanymi nazwami miesięcy. Kiedy nieustępliwego proniemieckiego Studnickiego (obecnie publicysta emigracyjny) Niemcy musieli izolować, broniąc się przed jego piórem, piórem pisarza samotnego przez całe życie. Kiedy Grydzewski — pasja najszlachetniejsza — wolał druzgotać dzieło tej swojej pasji, niż ustąpić.

Mnie tego wszystkiego oszczędzono. A gdybym mógł pisać, czyż miałbym czoło ich wówczas pouczać? Kiedy spadały, cios

za ciosem, wiadomości o Katyniu, o pakcie z Rosją, o The-ranie, o Jałcie, o zdradzie!... o zdradzie!... o opuszczonym po-wstaniu. Jakież by czoło trzeba mieć wówczas, aby pouczać (wtedy!...) o międzyepoce, o fałszywym torze, o nieaktualności haseł niepodległościowych w dawnym ujęciu, o "trzecim miej-scu"? Czyż można wyobrazić, żeby w takich chwilach naród nie protestował, rozumował? Żeby nie wzdał się wał niepo-wrotu półtora miliona ludzi? Żeby wraz z narodem nie pro-testowali jego pisarze?

Ale z nimi — nie byłem. Należę do "smutnych pół rycerzy żywych".

I jak cześć mamy dla ciężko okaleczonych inwalidów, tak cześć powinniśmy mieć dla tych zdartych w walce publicystów.

Jeden z nich przysłał mi odpis pisma do jednej z emigranc-kich redakcji, w której uprzedza, że jeśli się okaże prawdą, że podpisałem umowę wydawniczą z "Czytelnikiem", to on odmawia współpracownictwa.\*)

Czy miałem się oburzać? Odpowiedziałem listem pełnym sza-cunku, powiadamiając, że "z prawdziwą przykrością muszę zdecydować się na zerwanie naszej znajomości osobistej. Pro-szę wierzyć, że pobierając tę decyzję, daleki jestem od chę-ci dotknięcia Pana. Chciałbym jedynie na przyszłość nie za-mącać sobie pracy odpowiadaniem na tego rodzaju korespon-dencję".

Sądzę, że to będzie nasz najwłaściwszy stosunek do tych lu-dzi o poszarpanych nerwach: nie rzucać na nich kamieniem, ale stanowczo sprzeciwić się, by nam pracę mącili.



Skoro się było zmuszonym nie oszczędzać i ludzi, w gruncie rzeczy, sobie bliskich, należałoby powtórzyć za Kochanow-skim: "Przyjacielowi więcej, niż prawdzie chcieć służyć, zda się przeciw przystojności".

To — ludzie. A sprawa?

Skoro się bije w pisma i instytucje emigranckie, podko-puje się kredyt dla leaderów, kiedy, w przede dniu rozgrywki, nawołuje się do neutralności, a w zamian daje się sformułow-ania, które tak zdają się nie wystarczać, jak nie wystarcza-ła rada Dmowskiego w czasie pierwszej wojny?

Toteż trudno było napisać tę rozprawkę nie zrobiwszy naj-rzetelniejszego rachunku sumienia na jaki było autora stać. Wynikiem tego rachunku sumienia jest, że emigracja w tej for-mie duchowej reprezentuje nie wiele i reprezentować będzie z ro-ku na rok coraz mniej. Jeśli zaś reprezentuje wartości god-

---

\*) Wystarczyło mnie, po prostu, spytać, aby się dowiedzieć, że odmó-wiłem zgody na ponowny przedruk «Smętka». Zgody tej zresztą na pew-no był udzielił, gdyby nie obawa, że pod tą propozycją może tkwić ukryte subsydium, był to bowiem czas, kiedy p. Borejsza zapraszał mię na wy-cieczkę do Kraju, gwarantując auto do rozporządzenia, fotografa, sekretar-kę, nie stawiając żadnych zobowiązań wydawniczych i nie sprzeciwiając się, bym zebrany materiał drukował na emigracji.

ne utrwalania, to się o te wartości broszura pojedynczego człowieka rozbije i przez to samo te wartości pogłębi.

Reprezentują coś — Polacy na emigracji. Nie masą swego istnienia. Rosyjska dwumilionowa emigracja nic masą swego istnienia nie reprezentuje, chociaż stoi za nią zagadnienie szóstej części globu, chociaż, przynajmniej do 1927, wpływ jej na rządy, a przynajmniej wywiady był głębszy, niżby można przypuszczać. Ich ambicje “kontynuowania legalizmu” i rozważania kto ma prawo do tronu nikogo dziś nie interesują.

Nasza obecność po tej stronie barykady jest szacownym symbolem, ale jeśli wietrzenie tego symbolu ma być hamowane, to musi on być podbudowany zsumowaniem ciężarów gatunkowych poszczególnych jednostek. Nadmierne przywiązanie wagi do znaczenia legalizmu jest tylko jednym z zabiegów, aby odciążyć poczucie odpowiedzialności za swój ciężar gatunkowy każdego z nas i obniżyć wpisowe do emigracji politycznej.

Te wieczne kłótnie dookoła symboliki mogą skończyć się w dosyć nieoczekiwany, a w gruncie rzeczy jedynie logiczny sposób, kiedy z chwilą wybuchu wojny alianci zadecydują, kto jest wodzem narodu.

Ten wódz będzie miał fizyczną możliwość karania za uchylanie się od wojska, będzie więc miał posłuch z poczucia dyscypliny obywatelskiej.

Ten wódz będzie miał pieniądze i będzie wielbiony z serca.

I będzie miał pierwszorzędną *pedigree* “nieprzerwanie legalnej kontynuacji” ze wszystkimi polskimi i alianckimi pieczęciami.

Kiedy byłem na pogrzebie prezydenta Raczkiewicza, widziałem honorowy oddział pekapeerowych barakowców z bronią wypożyczoną na tę uroczystość przez Anglików. To czepianie się fikcji wniosło niepotrzebny popiół upokorzenia. Panowie Zaleski i Arciszewski nie podali sobie ręki nad grobem. Panowie z “miniatury” byli ubrani pro forma w takie krawaty, kapelusze, spodnie, jak właśnie trzeba.

A skromny Polak uczestnik lepiej by się poczuł, by nie małpowano tym, czym się małpować nie godzi — żołnierzem, nie zamartwiłby się, gdyby komu zabrakło sztywniaka i żeby, po prostu, stanęła nad grobem skupiona gromada ludzi. Nie radców, nie ministrów, nie generałów z “miniatury” — a ludzi, naturalnego wymiaru ludzi.

Czy postępuję nieodpowiedzialnie, pisząc to wszystko? Przecież — piszę, czy nie piszę — kiedy zagrzmia dwa złote rogi, pójdą Polacy za nimi. Po cóż więc oburzenie? I tu i tam “jednostki kierownicze” będą miały znaczenie, stanowiska, pieniądze. Mało tego — i tu i tam będą one po swojemu w pewnym stopniu potrzebne. Daj nam Boże, żebyśmy po tamtej stronie wyprodukowali jak najwięcej Polaków-komisarów, administrujących “grenadzkimi powiatami” i kolekcjonujących grenadzkie zegarki, a po tej Polaków-unrowców, podkra-  
dających konserwy.

Będziecie mieli to wszystko. A że ta broszura obciąży was nieco odpowiedzialnością, to i lepiej.

*My — kandydaci Klubu Trzeciego Miejsca wiemy, że każdy czyn jest lepszy, niż bezczyn. Że śmierć nie tylko każdego legionisty walczącego po złej nawet ideologicznie stronie, ale każdego nawet kondotiera kupionego przez tę stronę jest ważniejsza, niż śmierć stu biernych Polaków w obozach koncentracyjnych. My więc nie będziemy was klęli..*

*Ale chcemy skupić tych, którzy z neutralności nie będą robić zastony dla bezwładu. Którzy cały ciężar odpowiedzialności za cały naród będą nosić na sobie, na plecach, w dniu codziennej i nieustępliwej pracy, nie składając go w przechowalniach legalistycznych, partyjnych, kombatanckich czy innych aż do momentu, kiedy któryś tam złoty róg da znać, że czas siadać do wagonu.*

*Nie wiem, ilu się takich ludzi znajdzie, gotowych ciężko płacić. Ale wiem, że tylko na nich i na ich duchowym spadku spocznie cały ciężar tego, co wniosą Polacy w nową epokę.*



## SPIS RZECZY

LIST DO FLORCZAKA I BLISKICH .....	5
Cz. I. "ŚWIAT"	
Dojutki .....	7
Stara epoka .....	14
Moce rozbijające .....	19
Impas broniących .....	24
25 lat anarchii? .....	37
Cz. II. "EMIGRACJA"	
Dysproporcje	
Historyzm i możliwości .....	43
Królewęta .....	48
Orgia fikcji w cieniu lipy ideologicznej .....	50
Jaskrawe światło	
1) Arogancja wobec Anglików .....	57
2) Chamstwo wobec kraju .....	59
3) Ostracyzm wobec współemigrantów .....	60
Wstydlivy cień	
1) Kompleks niższości wobec Anglików .....	65
2) Kompleks bezwładu wobec bolszewizmu ....	71
3) Kompleks załapania wobec kraju .....	76
KLUB TRZECIEGO MIEJSCA .....	79





WYDAWNICTWA  
**INSTYTUTU LITERACKIEGO**

ADAM MICKIEWICZ

**KSIĘGI NARODU I PIELGRZYMSTWA**

HENRYK SIENKIEWICZ

**LEGIONY**

STANISŁAW SZPOTAŃSKI

**PROMETEUSZE**

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI

**MIASTO MOJEJ MATKI**

LEON BLUM

**NA MIARĘ CZŁOWIEKA**

PAWEŁ HOSTOWIEC

**DZIENNIK PODRÓŻY DO AUSTRII I NIEMIEC**

STANISŁAWA KUSZELEWSKA

**KOBIETY**

JÓZEF CHAŁASIŃSKI i JAN ULATOWSKI

**PRZESZŁOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ INTELIGENCJI POLSKIEJ**

SERGIUSZ PIASECKI

**JABŁUSZKO**

**NIKT NIE DA NAM ZBAWIENIA**

**SPOJRZĘ JA W OKNO...**

TADEUSZ FELSZTYN

**ENERGIA ATOMOWA**

WACŁAW SIEROSZEWSKI

**BENIOWSKI**

ARTHUR KOESTLER

**KRUCJATA BEZ KRZYŻA**

ANTOLOGIA NOWELI WOJENNEJ (1939-45)

**W OCZACH PISARZY**

BOLESŁAW MICIŃSKI

**PORTRET KANTA I TRZY ESSAYE O WOJNIE**

JAN BIELATOWICZ

**BRYGADA KARPACKA**

**PASSEGGIATA**

STANISŁAW GRYZIEWICZ

**ŚRODKI POLITYKI GOSPODARCZEJ**

WERONIKA HORT

**TUŁACZE DZIECI**

JÓZEF CZAPSKI

**NA NIELUDZKIEJ ZIEMI**

---

Największy polski miesięcznik literacko-społeczny

**KULTURA**

---

52

M. Losko  
4. V. 67